

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów

ZBIGNIEW ŚLAWIAN
ORLIŃSKI

BITWA na SZYNACH

OSTATNIA niedziela kwietnia 1944 r. zastała nas w leśnym biwaku, na wzgórzu leżącym w widłach rzecznych Tanwi i Jeleń. Niedziela nie różniła się wcale od poprzednich, zimnych i mglistych i dlatego nikt się nie spodziewał, że przyniesie nam coś nowego.

Jak w większości wypadków, mieliśmy uderzyć patrolem na linię kolejową Lublin — Lwów, na odcinku Bełżec — Zwierzyniec. Chłopcy szli rażno, radując się, że na chwileśną szalę wojny dorzucają znów swój partyzancki czyn.

„Młodzieńczo jeszcze dużej i wście ramię miał, gdy w krowiejce zawierusze szedł szukać mąk i chwał!”

— powtarzały stare drzewa słowa ulubionej piosenki, śpiewanej przez maszerującą drużynę, a tak świetnie charakteryzującej większość partyzanckich żołnierzy.

Cenny transport

Od strony Rawy Ruskiej toczył się hitlerowski transport wojenny pchając przed sobą dwie zabezpieczające lory z płaskiem. Transport był cenny. Niezwykle cenny. Wioził sprzęt wojenny, broń, samochody ciężarowe i osobowe oraz tajemnicze jakieś skrzynie i niewidoczne dla oka rzeczy, skryte pod plandekami. Wartość jego podkreślała wzmocniona eskorta zajmująca wagony od czoła i tyłu pociągu. Dla partyzantów łakomy kąsek.

Hitlerowcy byli ostrożni. Nie na darmo wywiesił okupant na tym odcinku ostrzegawcze tablice z napisami:

„Achtung. Banditengebiet!”
„Achtung. Bandengefahr! Schusswaffe bereitzuhalten!”

Więc gdy lory wyleciały w powietrze, a lokomotywa podskoczyła w górę i spadła niezupełnie tam, skąd wyskoczyła, leutnant, dowódca eskorty, zaklął wściekle. Złapał się za potłuczoną głowę i dziko rzygać nakazał zajęcie obronnych stanowisk. Ale las spokojnie szumiał i patrzył obojętnie na wykolejony pociąg i zerwany tor. To uspokoiło go nieco. Postanowił wezwać policyjny pociąg pancerny.

Ostrożnie wylazili hitlerowcy ze zniszczonych wagonów. Gruby telegrafista ubrawszy słupolazy rozjeżdżał się podejrzliwie, westchnął i z obawą poczał niezdarnie wdrapywać się na słup.

I gdyby partyzancki patrol po wysadzeniu pociągu, jak zwykle wycofał się skrycie, przeszedłby dzień normalnie. Ale w transporcie znajdowało się wiele samochodów oraz inny bezcenny dla nas sprzęt wojakowy. Pokusa była zbyt duża: a gdyby tak przeformować nasz oddział specjalny na zmotoryzowany?

Właśnie niemiecki telefonista dosięgał przewodów na słupie, gdy stała się rzecz nieoczekiwana. Las cały Rozszczękały się wściekle partyzanckie erkamy, głucho zawróciły im kabeki.

(Ciąg dalszy na str. 3)

WIESŁAW SADURSKI

Dla ust...

dla ust dla oczu otwiera się senna
jak wiosna gdy w lato zwolna się przemienia
i ląki uwalnia z monottonnych barw

albo jak ptaki gdy po chłodnej nocy
prosiują lotki i z wilgotnych liści
strząsają stada soczystych sopranów

i oto miłość rzuca w światłach cieni
otwiera się kwiat lóżka igrając barwami
i nagle zostaje bez dnia wczorajszego
i uciekam wielkimi alejami lęku

a ona w mej ucieczce otwiera się senna,
przechodzi w smugi mych krwawiących pęknięć
przelewa w skronie echa swoich stapań
wielokrotnie wzmocnione — zaraz mnie dopędzi
rozewnie usta na czerwone klekisy

Moja miłości...

moja miłości przymknij powieki

szare gołębie nad głowami krąży
ich skrzydła świszczą jak zmęczony oddech

i powrót ku wolności zamknięty w tym locie
grającym o stawkę tysiąca spojrzeń
bez przypadku rozdartych na kretonie sukni

moja miłości, gdzie moje spojrzenie
gorące ptaki wgrzyzają się w żyły
conocne tańce w kolorze czerwieni
w cierpieniu dobra noc

o moja miłości
wbija pomiędzy mury nazbyt ciasnych ulic
w wąskich przejściach łezówek od dłoni do dłoni.
rozdająca cierpienie jak kto inny chleb...
nazwałem cię miłością za ten pokarm właśnie

Lublin

TADEUSZ BARTOSZ W JUTLANDII JAK W GÓRACH ŚWIĘTOKRZYSKICH

STAŁ w tłumie naszych na parkingu przy Placu Tekli. Pamiędy opasłymi, podgarbionymi i jakoś zebranymi w sobie „Warszawami” wydawał się skromny i mało znaczący. Wyróżniał go tylko kształt i plakieta w tyle z innym, zagranicznym numerem, z metalową flagką „Danne-mark”. Kierowcy, którzy zaraz tam zaczęli się gromadzić, odgadli, że przybysz z Jutlandzkiego Półwyspu narodził się właściwie u francuskiego Citroena. Debatowali więc nad wozem, obchodzili go z szacunkiem ze wszystkich stron, zaglądali mu „w zęby” przedniej maski, kopali lekko w gumy kół, sprawdzali resorowanie, amortyzację...

Dzieciaki — te mniej miały estymy dla zagranicznego gościa. Nie takien widzi się w Kielcach. Od kilku tygodni pyszni się po mieście Cadillac jednego tu „Amerykanina”, który co roku do swoich szwagrow i innych pociołków na Tokarnię przyjeżdża i co roku innym krądownikiem szos w oczy kłuje naszych kielczan amokiem czterech kółek odurzonych...

Dzieciaki więc zaczęły palcami mazać w powłoce kurzu, jakim okrył się

(Dokończenie na str. 5)



Hobby

(Fot. Włodzimierz Wróblewski)

Po procesie w Krasnodarze

Korespondencja własna
„Kamień” z ZSRR

Dnia poprzedniego w Moskwie lał deszcz i dął zimny wiatr, ale w Krasnodarze przywitał nas piękny poranek. Termometry wskazywały około trzydziestu stopni, a w południe już prawie czterdzieści.

JEDZIEMY ulicą, która w pełni zasługuje na nazwę Krasnaja. Szeroki pas zieleni i egzotycznych kwiatów biegnie środkiem jezdni przez całą jej długość. Drzewa, krzewy i barwne skwery okalają chodniki. Zapomina się zupełnie, że to jedna z głównych arterii 400-tysięcznego prawie miasta. I odnosi się wrażenie, że jest się w ogrodzie. Samochód skręca w prawo i natrafia na niespodziewaną przeszkodę — mrowie ludzkie tarasuje chodniki i jezdnię. Tłum gęstnieje w miarę jak zbliżamy się do wielopiętrowego, czerwonego budynku.

Mój towarzysz, sympatyczny kapitan z wojskowej prokuratury, noszący nazwisko słynnego kompozytora rosyjskiego, Borodina, objaśnia mi, że jest to dom kultury jednego z największych zakładów przemysłowych Krasnodaru (Wytwórni Elektrycznej Aparatury Pomiarowej), którego ogromna sala widowiskowa właśnie ze względu na swoją pojemność została przeobrażona w salę sądową na czas trwania procesu przeciwko sześciu zbrodniarzom: Iwanowi Zajcewowi, Nikołajowi Matwijenko, Wasylowi Bielakowowi, Iwanowi Nikiforowi, Wasylowi Piodomokowi i Fiodorowi Tichonowskiemu.

Czuje bolesny skurcz serca. Zimny dreszcz przebiega mi przez plecy. Tak, to oni. Nie zmylą oczu ani pamięci

zmiany, jakie wyłobili w tych twarzach czas. Wracają koszmarnie wspomnienia.

WIDZĘ znowu olbrzymi plac otoczony drutem kolczastym. Orkiestra obozowa gra skoczne melodie. Słyszę gardłowy głos rzucający w języku niemieckim rozkazy. A ja wraz z tysiącem takich samych, odartych ze wszystkiego nędzarzy, zamieram w bezruchu, w niskim przysiadzie, z rękami wzniesionymi do góry...

Na samym środku placu wysoki, szczupły mężczyzna w mundurze SS-owskiego oficera. To on, „nadczłowiek” — Obersturmführer Gustaw Wilhaus, wszechwładny komendant obozu janowskiego, reżyser makabrycznego widowiska. Na dźwięk jego głosu zamierają serca więźniów. Błada każdemu, na kim zatrzyma się spojrzenie jego małych, chytrych, błyszczących jak żarzące się węgle oczu. Błada wszystkim, gdy na cieniach jego wargach pojawi się okrutny uśmiech.

I właśnie Wilhaus uśmiecha się szyderczo, błędząc wzrokiem po grupie młodych, rosnących mężczyzn stojących na wprost orkiestry, z dala od reszty więźniów.

Władczym ruchem przyzywa ich kolejno do siebie. Spod przymrużonych powiek bacznie obserwuje każdy ich ruch, każdy gest. Podchodzi do niego z obnażonymi głowami i kłaniając się wręczają swoje dokumenty. Wilhaus waży w rękę papiery, jedna drze od razu, inne przegląda, lub rzuca chwytającym je w łocie SS-owcom, których cała zgraja go otacza. Potem wskazuje stojącemu przed nim delikwentowi miejsce z prawej, lub lewej strony. Od tego, na którą stronę zostanie skierowany, zależy będzie, czy pozostanie wśród żywych, czy też pomaszkuje do „wąwozu śmierci”.

Która strona jest lepsza? Która dnia tego oznacza życie, a która śmierć? Lewa? Prawa?

Nikt poza Obersturmführerem Gustawem Wilhausem tego jeszcze teraz nie wie.

Selekcja skończona. Przebrzmiały dźwięki oberka. Orkiestra gra „tango śmierci”...

Oddział askarów w operetkowych obcisłych, czarnych mundurach, z szerokimi, srebrzystymi wyłogami i zsuniętych z fantazją na ucho kepi, spod których wysypują się włosy, otacza mężczyzn skierowanych przez Wilhaus na lewą stronę. Wśród świstu nahażek i ordynarnych wyzwiązków wyprowadzają ich za druty.

Orkiestra wciąż gra tę samą, szarpiącą nerwy melodię — „tango śmierci”. A my w przysiadzie i ze wzniesionymi dłońmi pozostajemy w bezruchu. Wzrok nasz biegnie za tamtymi. Długa kolumna maszerują wśród pól. Znikają na chwilę na zakręcie, a potem znowu się wyłaniają. Idą teraz wąską drożką, gęślego. Są już w „wąwozie śmierci”...

Orkiestra nagle urywa. Śmiertelna cisza zalega ogromny plac. Suchy trask karabinów maszynowych rozrywa uszy, wdziera się w mózg. Ktoś za mną krzyknął, ktoś zwał się na ziemię... Zanim apel się skończył askarzy powrócili zgrani i roześmiani, jak z zabawy...

I tak było przez wiele dni, tygodni, miesięcy...

W TYM zastępie morderców było też tych sześciu z ławy oskarżonych...

Zdradziłam swoją ojczyznę w najtrudniejszej dla niej chwili, w tym czasie, gdy toczyła nieubłaganą walkę na śmierć i życie z hitlerowskim najazdem. Zajcew, Matwijenko, Bielakow, Nikiforow, Piodomok i Tichonowski zaprzękali się wrogowi, stali się ogniem precyzyjnej, hitlerowskiej maszyny śmierci, która dzień w

dzień mijała tysiące ofiar. To nie, że otrzymali pogardliwe miano „askari” i że na każdym kroku dawano im odczuć, że są z „niższej rasy”. Czuli się mimo to przynależni do „Herrenvolku”. W lwowskim „uniwersytecie zbirów” — w obozie janowskim nabyli wysokie kwalifikacje w rzemiośle zbójckim pod doświadczoną ręką komendantów, katów i sadystów niepośledniej miary: Wilhaus, Richard Rokity i Franza Warzoga. Wyżłobili wszelkie ludzkie odruchów. Wyszli specjaliści z zadawaniami wymuszonych tortur, w potęgowaniu cierpień. Nie zawiedli nadziei swoich morderców, którzy powierzyli im służbę w kaziach Sobiboru i Belży.

Ofiary ich liczyły się już nie na dziesiątki setki, lecz na tysiące, dziesiątki tysięcy. Katowali, strzelali, prowadzili do komór gazowych. W Sobiborze, gdy wybuchło powstanie zorganizowane przez radzieckiego oficera, Aleksandra Pieczerskiego, oni to właśnie pierwsi otworzyli ogień do więźniów.

Po wojnie powrócili do haniebnie zdradzonego kraju, gdzie potrafili się sprytnie zamaskować. Byli już pewni, że wszystkie ich potworne zbrodnie ujdą im bezkarnie. Na ich trop naprowadził radzieckie władze bezpieczeństwa film z ich zdjęciami zrobionymi przez więźnia obozu janowskiego. Żywy film okazał się trwały od ludzkiego.

SIEDZA teraz na ławie oskarżonych i nie ma w nich z dawnej buty i pewności siebie. Strach, zwierzęcy strach wyciera z ich oczu. Oni, którym nigdy ręką nie drgnęła, gdy strzelali do dzieci, ko-

(Dokończenie na str. 11)

Wilhelm Mach nie żyje

2 lipca zmarł w Warszawie w wieku lat 48 enany powieściopisarz, krytyk literacki i publicysta Wilhelm Mach. Autor powieści „Rdza”, „Jaworowy dom”, „Góry nad Czarnym Morzem”, „Agnieszka córka Kolumba”.

Zmarły był laureatem wielu nagród i wyróżnień. M. in. Nagrody Państwowej II stopnia.



(Fot. J. Trembecki)

Fragment pomnika w Sobiborze

Wzegląd PRASY

WIES, ta dawna wieś, czasem nosząca ślady zacołania, niekiedy ciemnoty — jakież to wdzięczny temat dla reportera, publicysty czy pisarza! Te bogate złoża problemów, obfitujących często w tragedie, eksploatające z powodzeniem w swym piśarstwie Julian Kawalec. Pasjonujące są te spory pokoleń, przysłówowe walki o miód, objawia się w nich czasem całe bogactwo postaw moralnych i psychologicznych. Obciąża się za ten stan rzeczy najczęściej samego chłopca i ciężką niedobłą przeszłość. Ale nie zawsze tak jest. Czasami winą się rozkłada. Tak jak w reporterskiej opowieści B. Zapalę Wiekowa pamięć, czyli niekonsekwencja władzy (Magazyn Niedzielnny).

— Od wieków, jakżeśmy tylko zapamiętali, tedy szła droga. Niech powiedzą najstarsi ludzie.

Najstarsi ludzie są pod ręką. Wysuwają się do przodu stara, 80-letnia babcia z kozikiem w ręku.

— Jak tylko zapamiętałam, od wieków.

— Od wieków — powtarza kilka kobiet. Od wieków — mówią starzy mężczyźni. Od wieków...

Właściwie, to obojętna rzecz, czy chodzi tu o drogę, czy też dzieje się to w Podpolichnie, w Kieleckim. To tylko pretekst i przykład. Reporter ustala, że droga nie prowadziła przez pole Sobczyka od wieków, miała ona sens, kiedy prowadziła do młyna, który już jest zamknięty. Trzeba teraz jednak budować tamtędy dobrą drogę. Czy wlecie ją starym szlakiem, czy nowym? Reporter sądzi, że budowa drogi przez podwórze Sobczyka nie jest dobrym rozwiązaniem z ekonomicznego punktu widzenia. Ale cała wieś sądzi inaczej, jest przeciw Sobczykowi, który tego zabrania.

Nie to jest jednak w całej sprawie najważniejsze, ale stosunek władz do tych wszystkich wydarzeń. Drogę budować trzeba, oczywiście, kogoś trzeba wywłaszczyć. „Ale tego władze powiatowe przez rok nie potrafiły załatwić (...) Przez rok hodowano nienawistę. Nienawistę wydaje się, owoce, cierpienie. Nienawistę może się skończyć potworną tragedią. Kto weźmie za nią odpowiedzialność — sąd, prokuratura, milicja? Władza jest po to, żeby za-

pobiegać tragediom, władza musi być konsekwentna, ale sprawiedliwa przy tym i ludzka”.

Obserwowaliśmy nieraz w tej rubryce wysiłki województwa kieleckiego zmierzające do aktywizacji małych miasteczek. Jest okazja do tego tematu powrócić. Podejmuje go I. Czaplaśka w „Słowie Ludu”, w artykule Drogi powrotu do życia małych miasteczek. Oczywiście, aktywizację można pojmować różnie. Podaje autorka bowiem przykład, że „zdarzyło się już w pewnym miasteczku, iż postanowiono w czynie społecznym zburzyć niedawno wybudowaną remizę strażacką, w tym miejscu wybudować duży — w stosunku do wielkości miasteczka — stadion sportowy, podczas gdy zwykle (lecz nie istniejące) boisko sportowe rozwiązałyby wszystkie z dziedzin kultury fizycznej potrzeby mieszkańców”.

To przykład bardzo krańcowy. Bo proces aktywizacji pomyślany został w Kieleckim bardzo sensownie i jest prowadzony w sposób daleki od żywiołowości i przypadku. Ostatnio przeprowadzono tam inwentaryzację małych miasteczek. Specjalne ekipy WRN badają, co każdemu z nich do życia jest potrzebne. Ustala się potrzeby w każdej dziedzinie życia, wylicza wnioski. Okazuje się przy tym, że wiele jest możliwości nie wykorzystanych. W Łagowie, Ożarówie i Wodzisławiu stoją zakłady nie wykorzystane lub nie zagospodarowane. Bez żadnego przeznaczenia stoi 70 kuzni po GOM. W Bodzentynie wybudowano mleczarnię, a w okolicy jest mleka mało, zakład jest właściwie niepotrzebny.

A więc jedna z głównych dróg aktywizacji miasteczek, to maksymalne wykorzystanie możliwości. Ożywieniu gospodarczemu małych miast służyć nowe zamierzenia finansowe, które całość lub część dochodów płynących z rozbudowy miejscowych zakładów przemysłowych, usługowych i handlowych przeznaczają do budżetu miejscowych władz. Dotyczyć to będzie także dochodów z turystyki.

Zasada, którą zamierzają się kierować władze przy podejmowaniu decyzji o losach małych miast, jest chyba jak najstosowniejsza: „dawać, pomagać, sprzyjać rozwojowi przede wszystkim tam, gdzie rodzi się inicjatywa, gdzie ludzie przejawiają poczucie odpowiedzialności za losy swojej miejscowości. Tylko wówczas bowiem jest gwarancja, że większe uprawnienia będą właściwie wykorzystane a wniesione kapitały będą procentować”.

T. K.

BITWA na SZYNACH

(Ciąg dalszy ze str. 1)

W potwornym strachu hitlerowcy błyskawicznie znikli we wnętrzu wykolejonego pociągu. Leutnant gwałtownie schował głowę. Tylko gruby telefonista, jakby zdziwiony tym wszystkim, co się nagle stało, przekrzywił głowę i zjechał bezładnie ze słupa, drapiąc go zębami słupolazów.

Nim jednak jego martwe ciało dotknęło ziemi, kilkanaście szarych postaci oderwało się od jednostajnego tła i runęło na wprost.

To „las” ruszył do szaleńczego ataku.

Zmasowany ogień

Nie doszli jednak. Wstrzymał ich rzęsy ogień szturmówek i bergmannów. Wstrzymał, ale nie cofnął. Znowu zagrały partyzanckie erkaemy. I znowu zawtórowały im kabeki...

Pojędnycy, skokami zbliżali się partyzanci powoli, ale stale do wykolejonego transportu. Z pierwszego wagonu kilkanaście pistoletów maszynowych ziała im bez przerwy zmasowanym ogniem w twarz.

Ala patrol nie zalał się, nie odstąpił. Wzepił się kurczowo w transport, jak ogary w osaczono go odyńca i atakował w ściekłości.

Wreszcie Mundek „Jastrząb” i Jurek „Czwarty” celnym i skutecznym ogniem swych maszyn zmusili transport do milczenia. Partyzancka tyraliera była tuż pod naszym koleją. Można było granatami wykończyć upartą eskortę. Wezwano transport do poddania się i rzucenia broni. Niemcy zastanawiali się chwilę, ale widząc beznadziejność sytuacji zaczęli odrzucać broń i podnosić ręce do góry. Wesół i zadowolony z siebie Jurek, jak wówczas pod Józefowem, gdy z kolegami uratował mi życie od kul nasłanych najmitów próbujących wykonać na mnie „wyrok”, poderwał się błyskawicznie ze Zbyskiem „Saigonem” i kilkoma strzelcami i uskokował do przodu. Bez zastanowienia się, bez cienia obawy. Ot tak, jak by to było na lekcji gimnastyki w gimnazjum, którego nie było dane im ukończyć.

Zdawać by się mogło, że już po wszystkim. Niestety, nie tak miało się to zakończyć. Bo oto, gdy byli już o parę metrów od transportu nieprzyjaciela, który przyjął warunki kapitulacji i formalnie się poddał, ciemne wnętrza drugiego wagonu rozbiły się wystrzałami i rzędnym żywym ogniem karabinów maszynowych i szturmówek w zbliżającą się tyralierę partyzancką.

Nie zdążył tylko wysorowany na przód Zbyszek „Saigon”. Trafiony kulą leutanta w samą skroń runął na znak zaledwie zdążywszy krzyknąć: — Jezus, Maria...

Na śmierć i życie

Niemiecka broń maszynowa nie przeżywała ognia, a amunicji mieli do syty.

Z lewej strony wsparł atakujących sierżant „Muraw” ubezpieczając równocześnie tor od strony Długiego Kąta, gdyż spodziewaliśmy się zbrojnej interwencji pociągu pancernego z Zamościa, czy Szczepieszyna. Ale nawet pancernka przez naszą minę by się nie przedarła.

Od czoła wzmocniłem tyralierę resztą plutonu trzymając równocześnie pod ostrzałem linię od strony Suśca, Bełża i Rawy Ruskiej.

Walka trwała coraz zawzięta, coraz krwawsza.

Koledzy wyprowadzili rannego młodzieńca „Szerszenia”, padł przetrześnięty przez ogień „Kuchnia”, wyniesiono z pola walki krwawiącego obficie „Rabe”. A Jurek? Jurek „Czwarty” już nie żył. Ulubiony przez wszystkich za swą koleżeńskość, za młodościowy humor, za szczerość, za odwagę, zginął tak jak żył. Pewny siebie, młodzieńczy, radosny, z taką swobodą idący życiu naprzeciw — padł od wrażeń kul, gdy szedł ratować kolegę.

Bitwa zmieniła się w krwawą walkę na śmierć i życie. Już nie było mowy o braniu jeńców. A gdy padł z wyszarpniętym bokiem „Zapalka”, już tylko dziewczęciu Niemców ostrzeliwało się z czołowego wagonu.

Rozwścieczeni strzelcy za wszelką cenę chcieli pomóc kolegom. Zdesperowany Milek „Zbik” (który później

tak bohatercko spisał się przy wysadzeniu mostu kolejowego na Wieprzu w Zwierzynicy nie opuszczając mnie mimo wycofania się oddziałów szturmowych „Podkowy”) dotarł do transportu i wdarł się na wierzch. Teraz biegi, skacząc z wagonu na wagon, aby dotrzeć do dowódcy eskorty. Nie zważał na kule.

Zdrętwiałem. Trudno mi było cymś zaimponować, ale jego odwaga graniczyła z szaleństwem. Rozkazując wzmóc ogień, aby odciągnąć uwagę nieprzyjaciela drzę z obawy. Cholerny dzień! Sami najlepsi chłopcy mi się wykończali!



Rys. K. Kurzątkowski

— Obywatelu podchorąży! Pociąg z tyłu! — wyrwa mnie z wiru walki wrzask obserwatora „Borysa”.

Odwracam głowę. Diabli go teraz nadal!

Drugi pociąg

Faktycznie od strony Suśca zbliża się cicho drugi pociąg i wplątuje w walkę. Jedzie szybko, ale cicho. „Cóż u licha — myślę. — Chyba pociąg tłumików nie mają?”

— Celownik trzysta! Ogień na mój rozkaz! — decyduję. — Co ze „Zbikiem”? — myślę równocześnie.

Znowu odwracam się do walczącego transportu. Milek biegnie już nad wagonem eskorty. Niemcy musieli się zorientować słysząc jego kroki na dachu, bo prują z broni maszynowej przez sufit, aż drżają! leca! Rany boskie, byle go nie trafił!

Przeskakuję do ostatniego wagonu. Wyrwa zza pasa granat, rzuca wyścigniętą zawleczkę. Hitlerowskie kule dudnią w dach, jak grad w czasie letniej burzy. „Zbik” jeszcze stoi. Sciskam nerwowo wyszarpnięty granat. Jeśli go skopie rąbna, rzucam tyralierę do szturm! Milek przedzie!

Wreszcie rzuca z rozmachem granat w huczące wystrzały okno. Za moment drugi.

Wagon szarpnięty eksplozją nagle zamilkł. „Saigon” i „Czwarty” zostali pomśczeni.

Następuje chwila jakiegoś nerwowego odprężenia. Ale nie mam czasu na sekundę odpoczynku. Tuż za plecami drugi pociąg.

Błyskawicznie przerzucam uwagę na zbliżającego się nieprzyjaciela. Zuchwała bestia! Zbliżył się już chyba na jakieś czterysta metrów od pola walki. Skądś leca serie gwizdząc mi nad głową.

Muszę się opanować. Podnoszę spokojnie lornetkę do oczu, aby znaleźć zuchwałego strzelca. W szklach Zeissa wróg zdaje się być tuż, tuż.

Jeśli wiezie z batalion żandarmów i Ostlegionerów, to będziemy mieli dość gorącą niedzielę. Nie mogę go już bliżej dopuścić.

— Erkaemy krótkimi seriami ognia! — krzyczę.

Zaterkotały maszynki ubezpieczenia. Celowniczo — fachowcy biją w kocioł. Po kilku seriach pociąg zatrzymuje się i wypuszcza parę. Na razie niegroźny. Przekazuje obserwację nowego obiektu dowódcy ubezpieczenia z rozkazem, aby na wypadek wyładunku

żandarmów bili bez mego rozkazu z miejsca długimi seriami.

Wracam do walki z pierwszym transportem. Gdzie Milek, gdzie Milek. Nigdzie go nie widzę.

Pytam kaprała podchorążego „Bończę”. W tej samej chwili elektryzuje mnie okrzyk strzelca „Lisa”:

— Obywatelu podchorąży! Ucieka!...

Nie potrzebuję pytać, kto. Wlem dobrze. Żdaje sobie sprawę: o dwa przystanki jest Bełżec. Jeszcze bliżej garnizon hitlerowski w Tomaszowie. A w Suścu sześćdziesięciu Turkmenów i policja kolejowa.

Momentalnie decyduję się. Dowódz-

two do wykończenia transportu przekazuje zastępcy, a do żołnierzy wołam:

Nie możemy go puścić, chłopcy!

Podrywam ze stanowisk „Borysa”, „Kruka”, „Lisa” i „Pawia”. Rozpoczynamy szaleńczy maraton: pościg za uciekającym pociągiem. Bezczelność mechanika pociągu, który uważałem niesłusznie za uszkodzony i unieruchomiony, a tym samym za moją zdobycz, doprowadza mnie do szewskiej pasji. Jak śmie zabierać „mój” pociąg?

Widocznie uciekający spoztrzegli co się święci, bo cofający się tyłem jak rak, pociąg, zwiększa szybkość. Skądś gwizdają kule, ale nie zważam na to. Pociąg nie może nam ucieść!

Przecinamy jakieś pole, pędzimy ścieżką, wpadamy na drogę. Serca zwiększają rytm wraz z pokonywaną odległością. Z rozpaczą stwierdzam, że odległość między nami i uciekającym pociągiem nie maleje, ale raczej wzrasta.

Zaciskam zęby w ściekłości i zwiększam tempo wpadając między luźno stojące zabudowania wiosek osłaniające nas od pociągu.

Tempo, tempo!

Ludzie z zaciekawieniem wyglądają z domów i obserwują dziwny, nawet na partyzanckie warunki, pościg. W tym czasie nie wiedziałem o tym, że zostanie „partyzanek Nurmim”.

Pociąg ucieka. Z tyłu na szlaku trąkocą erkaemy, peemy i grzmia kabeki. Mordercze tempo biegu eliminuje z pościgu „Pawia”. Wkrótce odpada „Kruk”.

Kroku dotrzymuje mi tylko długonogi „Borys” i drąg „Lis”, ale czuję, że już długo takiego tempa nie wytrzymamy. Przed oczami zaczynają mi skakać czerwono-złoto-czarne plamy.

W biegu wkładam do ust chusteczkę, ścisną ją mocno zębami! Żdaje się, że to pomaga, ale płuca grają jak miechy. Nagle przed nami dwukonka. Ostatkiem sił przyspieszamy.

Po chwili rwiemy z kopyta, pędząc jak sto diabłów. Już widzę zabudowania stacji kolejowej w Suścu. Tor dochodzi prawie do samej drogi. W pedzie zeskakujemy i w kilku susach jesteśmy na peronie. Nasz pociąg stoi. Pod parą, ale stoi. A więc naprawdę nasz!

Błysk triumfu w zmęczonych oczach. A jednak mamy go! Nie przywiezie odsieczy Turkmenów, czy żandarmów Schutzpolizei.

Podchodzimy do parowozu. Ni żywe duszy... Chyba pociąg pusty. Pociąg-widmo...

Decyzja błyskawiczna:

— „Lis”, pilnuj pociągu i ubezpieczaj! „Borys” za mną.

Wywalone gwałtownie drzwi do pomieszczenia zawiadowcy stacji i wysunęte lufy zrobiły swoje! Ręce same podniosły się do góry. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć sytuację. Skokiem dopadam kolejarza, wyrwam mu słuchawkę telefonu i przykładam do ucha:

— Policjny pociąg pancerny wyruszył już na miejsce wypadku... — uderzają mnie słowa, jak obuchem.

Szarpię aparat, wyrwijając go z sieci. Przekazuję „Borysowi”. Wspólnie demolujemy urządzenia stacji. Na do-bitek:

— „Turki” idą! — dolatuje nas ostrzeżenie „Lis”.

Masz diabła kaftan. Wpakowaliśmy się w kabałę, niczym pan Zagłoba z molojcam Krywonosą. Za nami hitlerowska pancernka, przed nami oddział dzikich i zawziętych w walce żołdaków z kolaboracyjnej Russkiej Oswobodzielnej Armii „Ostlegionu”.

Co robić! Co robić! — przelatuje błyskawiczna myśl. Przyjąć walkę? Wycofać się?

Silny wygrywa, słaby ginie...

A bodaj to wszyscy diabli!

Nielatwa decyzja

Zdobyty pościgiem honorowy przodek „partyzanckiego Nurmiego” (gdym naturalnie już wtedy wiedział, że go otrzymam) oddałbym z ochotą za pluton ciężkiej broni, albo — co tu ukrywać — żeby ktoś inny znalazł się w mojej skórze. Co prawda, prawie pięć lat miałem za sobą podziemnej walki z okupantem, w tym dwa lata w oddziałach leśnych na stanowisku dowódcy, ale z drugiej strony dopiero... dwadzieścia trzy lata życia.

A decyzja nie była łatwa.

Wiedziałem, że oddział Turkmenów z „Ostlegionu” liczył sześćdziesięciu ludzi, a w obecnej sytuacji mój „pluton” dwu żołnierzy i mnie. Dwudziestu uzbrojonych po zęby hitlerowców na każdego z nas.

Co robić? Stanąć do nierównej walki? Uciekać?

Powaga sytuacji wymaga jednak natychmiastowej decyzji. Wybiegamy na dwór. Istotnie. Z dali, wzdłuż toru, zbliża się ostrożnie oddział nieprzyjaciela.

W pokera nie raz bluffowałem i przeważnie — wygrywałem! Błyskawicznie decyduję się. Na pierwszą ewentualność. Nie tylko postanawiam przyjąć walkę z „Turkami”, ale być równocześnie stroną atakującą.

— Na wysokość kolan, do nieprzyjaciela, pojedynczo... ognia!

Rozpaczamy wściekłą strzelaninę. Żdaje sobie doskonałą sprawę, że nasz nerwowy ogień nie może być zanedo skutecznym, że gdyby się odważyli na kontratak, to samymi czapkami mogą nas zarcucić. Ale liczę na to, że nie ruszą do szturm, nie mając rozeznania naszej siły.

Zresztą nie chodzi mi wcale o rozbić oddziału nieprzyjacielskiego, lecz o zdezorientowanie go, o zalamanie, o zyskanie na czasie i wyeliminowanie z walki toczonoj na szlaku z transportem.

Dla zwiększenia efektu oddajemy parę salw do dużego, pustego zbiornika metalowego. Huk imponujący. Ogień naszej broni wzmocniony potężnym echem przestrzelanego zbiornika spełnia swe zadanie. Zdezorientowana, ogupiała odsiecz nie wytrzymuje nerwowo. Rozsypuje się w nieładzie i spływa z nasypu w martwe pole nie oddając do nas ani jednego strzału.

Wahałem się już niejednokrotnie, czy ten atak zaliczyć do walk z siłą zbrojną okupanta. Bo przecież walki jako takiej nie było. We trzech spędziliśmy pluton nieprzyjaciela z toru, nie dając mu możliwości obrony. Rozprzeczli się, jak stado wróbel po strale z włatówki...

W każdym bądź razie inicjatywa pozostaje w moim ręku. Pole walki też.

Pełną parą!

Zbieram swój dwuosobowy „pluton” i rozkazuję dołączyć do oddziału wraz ze zdobytym aparatem. Sam podchodzę do parowozu, aby przetrześć kocioł i wrzucić granaty w palenisko. Stawiam już nogę na stopniu lokomotywy, gdy wybuchy pejącego hen gdzieś na szlaku granatów powstrzymują mnie.

(Dokończenie na str. 8)

»»» Z NAJMŁODSZEJ ««« POEZJI BIAŁORUSKIEJ

DANUTA BIGIEL-ZAGNIETOWA

Słońce, —
Ocknie się —
Kogo powitać na wstępie.
Ocknie się —
I od razu na Niemen.
Wsiądzie do rybackiej czajki.
Zarzuci w głębinę niewód —
I popłynęło na niebo.

A niech tam! Zgodna będę:
Pojadę z tobą, jak masz chęć, w legendę.
Z autobusu wysiedliśmy w lesie.
Jak znajomych
Powitała nas cisza i wrzesień.
Niezwyczajnie było dokola:
Pachniały wrzosy
I smoła...
Rozmawialiśmy o ziemi,
O słońcu,
A ono uciekało zza sosen.
Rozumieliśmy,
Ze to nie wieczne.
Rozumieliśmy,
Ze to nie wieczne.
Rozumieliśmy,
Ze wnet już wleczość.
W poważnym szumie sosnowym
Pomyśleliśmy jakby o tym samym
Człowiekowi potrzebna jest w życiu
Choć czasami
Leśna cisza.

(Danuta Bigiel-Zagnietowa, autorka dwóch zbiorów wierszy, jest jedną z najmłodszych przedstawicielek współczesnej poezji białoruskiej).

NIŁ GILEWICZ

Kocham cię życie. Żyję na tej ziemi
Nie jak darmozjad. Człowiek nie ma prawa
Jedynie chwycić garściami pełnemi
Bogactwa twoje. Ja lubię oddawać.

W czynach stych szukam miłości miernika.
I gdy się skończy godzin moich obieg,
Muszę mieć pewność, że oczy zamykam
Oddawasz wszystko do kropelki — tobie.

Mój siwy bór, rodzinny bór zielony!
Każy ma bór swój własny, a w tym borze
Swoją miłą kąt, swe brzozy i swe klony
I własną leśną tajemnicę może...

Bądź więc na wieki mi błogosławiony,
Milczący druhu, bo ty wiesz jedynie,
Ile znałem szczęścia w tej gęstwinie!
Mój siwy bór, rodzinny bór zielony!

(Nił Gilewicz, autor kilku zbiorów poetyckich i wielu przekładów z poezji bułgarskiej i polskiej. Kandydat nauk filologicznych, wykłada język białoruski na uniwersytecie).

PIATRUS MAKAL

Salatka „Rodzinna idylla“

Ach, ten mój sąsiad to smakosz nie lada!
Wciąż ta rodzinna salatka sąsiada!
Trochę wierności,
Trochę zdrady,
Trochę zazdrości,
Podejrzenia jadu...
Salatka to dla niego wymieniona
I nie ma lepszej.
A polajankę przyprawioną przy tym
Jak pieprzem.
I posłodzona pieczęcią udaną,
Bajkową mianą, co się sypie z nieb,
I posypana jakże bardzo tanią
Solą skruszonej żony lez...
Ach, ten mój sąsiad to smakosz nie lada!
Wciąż ta rodzinna salatka sąsiada!
Przyprawia on ją i nocą i dniem...
Aż chce mnie bierze, by braterskim prawem
Bunt podnieść i do góry dnem
Przeurucić tę zgorzkniałą straż!

(Piatrus Makal — poeta i dramaturg. W Teatrze Młodego Widza dużym powodzeniem cieszy się jego sztuka napisana wierszem „Za głoszeniem lasów“).

Przełożył Stefan Orczyk



Serpentyny nowej drogi w Bieszczadach

(Fot. Z. Postępa)

ZYGMUNT CIESIELSKI

I wypełniły się dni...

P IERWSZĄ rzeczą, o której pomyślał po przebudzeniu, było odejście z gór. W schronisku nie było prawie nikogo. Umył się, oddał pościel i poszedł na śniadanie. Jedząc, patrzył w okno. Przypatrywał się. Te obrazy chciał utrwalić, zapamiętać, zabrać ze sobą do dalekiego miasta, chciał, żeby potem, kiedy pozwoli przyjąć zamysłu, łatwo pojawiał się obraz. Właśnie ten obraz: ponad doliną szczyty — zwykła rzecz. Ich rysunek na tle nieba. Niebo zawleczone tu i ówdzie smugami chmur. Chmury kładą się pasami cienia na dolinę i stawy. Stawy są ciemne. Ich barwy nie wolno zapomnieć. Barwa ich to rozwór nieba w wodzie, to rozcięzione skały i hale. Wszystko zabetane i pozostawione, żeby się ustalo. I ustalo się.

Śniadanie smakuje powoli. Są tu specjalne przysmaki przetrzymywane na ostatnią godzinę. Teraz nie musi ich chować dłużej przed własnym łakomstwem. Może się sycić z upodobaniem. Trzymać w ustach smakowite kaski i wynagradzać sobie chwile wstrzemięźliwego oczekiwania. To jest ostatnie śniadanie w górach. Dobrze, że przynajmniej nie musi się śpieszyć.

Ta pani po przeciwnej stronie jadali też się nie śpieszy. Ona pewnie pozostanie jeszcze dłużej w górach, bo czyta coś w przewodniku i ogląda mapy. Zresztą i tak wyjdzie na spacer nad stawem. Mógłby jej pomóc w wyborze ciekawej wycieczki, ale po co? I tak dzisiaj odejdzie z gór.

W szypialni walają się jego rzeczy. Jest ich wszędzie pełno. Plecak musi zmieścić wszystkie. Upycha w nim umiemytnie i szybko zapasowe swetry, ręczniki, linę i wszystkie drobniaki. Wejdą jeszcze mokre skarpety i przewodniki. Jeszcze trzeba będzie dopchać trampki. Zmienia je teraz na solidne wiabramy. Nogi w butach lokuje powoli i pracowicie zaciąga sznurówki. Noga musi dobrze siedzieć w bucie, więc jeszcze wstaje i próbuje. Dobrze.

Teraz już zawiąże plecak, pozapi-na klapy i zarzuci go sobie na jedno ramie. Zejdzie tak do sieni, zwali go na ławę i pójdzie pożegnać personel. Skinie też na odchodnym głową samotnej turystce w jadalni. To ostatnie pożegnanie jest szczególnie ważne, bo jest pożegnaniem na długo. Teraz może już iść.

Plecak na ramiona. Poprawia. Droga wiedzie już tylko do dworca. Mija stawy, przechodzi nad wartką wodą strumienia. Zwalnia nieco na pierwszym podejściu. Tu jeszcze może wybrać drogę. Albo dalej, doliną, powoli w górę, albo przez zbocze do ostrego łąbu. Nim stromo na wysoką przełęcz. Tam będzie rozległy widok, którym jeszcze raz zaurczą góry.

Pójdzie ku przełęczy. Jeszcze raz zatrzymuje się i po chwili decyduje porzucić cepeńską ścieżkę. Jeszcze raz, na koniec, musi zakryć przyjemności wyszukiwania przechodów, juhaskich chodników, kozich perci. Jeszcze raz stary kopczykowany szlak nie dla masowego turysty. Taka droga da mu radość. Taka droga jest mu potrzebna. Utrwali wrażenia. Na upłazach niebieska goryczka czy jakiś żółty kwiat. Jak on się nazywa?

Nogi jego stają pewnie, pewnością długiego treningu. Pewnością dzisiejszego odpoczynku i autego śniadania. Często na trudnej ścieżce, bywało, po lurowatych płatkach, po ciasnej, niewygodnej nocy w namiocie. A szedł. I jak jeszcze!

Już skalne załomy, już płyty i progi łąbu. Łatwe. Plecak nawet nie potrafi wybić z przyjętego rytmu. W krótkich zakosach dolina raz z lewej, raz z prawej, widziana kątem oka. Do wyżartej w kalenicy grani — przełęcz już blisko. Jeszcze tylko pokonać kilkadziesiąt metrów nie wydeptanej ścieżki.

Z góry łomot głazów. Pędzą, obijając się o ściany. Nie uciekną im w wąskiej rynnie łąbu. Nie uciekną już ze ścieżki prowadzącej tylko do dworca.

TADEUSZ ROSS

O ocalenie

Jak kamienie
na moje piersi spadały godziny

Nie daj mi ukamienować
czasowi

Stań pomiędzy czasem a mną
Przez kartusze nie dotknie ciebie
Ciebie
nie wolno biec
nawet kwiatem
Mnie wolno ukamienować

Przyjdź
zamknij drzwi przed moim czasem
zatrzasnij furkę puski

Przepełnij mnie
Rozdźwięcz mnie

Jestem struną
potencjalną pieśnią

Zatęgnij
rozdwój
czupiewaj mnie

harfarko

Nie daj mi ukamienować
czasowi

Wice maly Citroen duńskiego archeologa z następnego dnia na parunię przy Placu Tekli. W drzwiach awiamli Soltyków spotkałem doktora archeologii Kazimierza Bielenina. Powiedział mi, że w najbliższym czasie z Julandii zabawiła rozmową z historyczką Elżbietą Nosek, nie archeolog, lecz metaloznawca stale poświęcająca się badaniom metali wytopiających w dymarkach starożytnych świętokrzyskich hutników. Podziwiałem jak wiedziana swadą mówiła na styczniowej krakowskiej sesji o zarysach podziemnych przebiegów fosforu z rud do metalu. Miała na myśli próbki wytypowane przez profesora Mieczysława

— Profesor Radwan, doktor Biele-
gów i cały zespół polskich archeolo-
gów odkryli już tak dużo, że napraw-
dzie macie się czym szczycić — stwier-
dził archeolog z Jutlandii. — Muszę
powiedzieć, że my w Danii mamy na-
razie bardzo skromne wyniki i dla-
tego chcemy z polskimi archeologa-
mi, zajmującymi się starożytnym hut-
nictwem w ogóle historią techniki

Doktor Voss nie powiedział mi, czy sam jest komunistą. Nie pytałem go zresztą o to. Myślę, że nim nie jest. Ale budził mój podziw swoją orientacją w tym, co nazywamy brzydko rozeznaniem w bieżącej sytuacji politycznej. Nie tylko pewnie archeologia stanowi jego pasję. Był w Polsce po raz pierwszy i — jak mówił mi Kazimierz Bielenin — poprzedniej nocy, kiedy wrócili z gór do słuckiego schroniska, wiele godzin przegadali nie tylko o archeologii, nie tylko o starożytnym świętokrzyskim i jutilandzkim hutnictwie. — Dania nie ma wielkiego nowoczesnego przemysłu hutniczego. Szkoda, że dr Voss nie zobaczył niedalekiego hutniczego Ostrowca. Duński uczony dopełniłby sobie obraz naszych starych kunsztów „szlachetnego dzieła żelaznego” nowoczesnym hutnictwem polskiego kołosem.

— Chętnie zaprosimy dra Bleni-
na w przyszłym być może roku do
Danii — odpowiada archeolog z Jut-
landii.

Ta wymiana da nam dobre owoce. Kazimierz Bielenin wyjedzie do Dąbni. Może pokieruje tam próbnymi wytopami, może nauczy duńskich przyjaciół rozpoznawania hutniczych osad z góry, z samolotu. Może zbierze materiał dla napisania artykułu, w którym przeprowadzi jakieś nowe porównania, wyciągnie odkrywcze wnioski. Wróci stamtąd z doktorem Vossem, który weźmie udział w próbnym wytopach na stokach Gór Świętokrzyskich. W czerwcu już starym dorocznym zwyczajem Radwan i Bielenin rozpala znów ogień w zbudowanym przez nich dymarkach, przenosząc się mocą twórczej wyobraźni i praktycznej wiedzy w dawne zamierzchłe czasy świętokrzyskich wytopiarczy szlachetnego żelaznego dzieła...

Doktor Voss powiedział jeszcze, że na różnych terytoriach Europy pracują archeolodzy i wszędzie łączą ich wspólne radości odkryć, szlachetne pasje poszukiwawcze śladów dawnego człowieka, humanistyczna żądza odkrywania i badania kultur, rzemiosł i kunsztów ludów żyjących przed nami. Archeolodzy duńscy mają w tej chwili trudności w umiejscowieniu ich hutnictwa w czasie, w

TERESA
GABRYSIEWICZ
Żołnierzyki

Przeżyły już boje
we framudze okna
żołnierzyki
olowiane kolorowe
niech usną
w pudelka tekturze
bo z ołowiu
byle wyrzeźbić formę
może być kosmonauta
grotolaz
nurek naprawdę
BYŁE WYRZEZBIĆ FORMĘ
A bajka ma kolory
jeszcze nie odkryte
Niech śpią w pudelkach
żołnierzyki

Tomaszów Mazowiecki

Czego nie kupisz w Krakowie...

ZACZNĘ przypowiadką o premierze. Niedaleko od Kielc leży miasteczko Suchedniów. Jak każda miejscowość na Kielecczyźnie, ma ono swoją porcję zabytków, pamiątek z okresu powstania styczniowego i swój udział w ruchu oporu podczas ostatniej wojny. Jednak obcemu przybyszowi rzuci się przede wszystkim w oczy wielka tablica reklamowa wjazdu do miasta z napisem: „CZEGO NIE KUPISZ W KRAKOWIE, KUPISZ W SUCHEDNIOWIE”. Nie można więc tutejszych mieszkańców posądzić o kompleks niższości. Przede wszystkim zaś trzeba wyrazić uznanie dla przedsiębiorczości miejscowych handlowców. Fama głosi, że napis jest tak sugestywny, iż przejeżdżający tędy z Krakowa do Warszawy premier zatrzymał się i w miejscowym PDT kupił parę butów. Wiadę nie określa narodowości premiera ani nie podaje nawet daty niecodziennego wydarzenia (premierzy niezbyt często zatrzymują się w małych miasteczkach) ale i tak cała okolica kupuje buty tylko w suchedniowskim pedecie.

Powijaną historię słyszałem w czasie wycieczki po Kielecczyźnie, zorganizowanej w ramach odbywającej się w dniach 19 i 20 czerwca w Kielcach sesji dziennikarzy zajmujących się sprawami turystyki. Sesja miała na celu zapoznanie przybyłych z problematyką turystyczną województwa.

W Kieleckim jak już się coś robi to ze staropolskim rozmachem i fantazją. Gdy nie było dróg bitych, to jesienią do wielu miejscowości dojechać można było tylko chłopską furmanką albo traktorem: kiedy zabrano się do budowy — w ciągu dziesięciu lat wykonano ponad 2000 kilometrów szos, a ambicja władz wojewódzkich jest podwojenie tej liczby. Wskaźnik gęstości dróg bitych na 100 km kwadr. wzrósł z 19,2 km w roku 1945 do 33 km w r. 1962. Porównując te dane z analogicznymi wskaźnikami ogólnokrajowymi — 29,2 w 1945 r. i 35,5 w 1962 r., dokonane zmiany to ogromny postęp.

Kiedy już wybudowano w Kielcach hotel („Centralny”) — to za-

planowany z sensem, położony na przeciwko dworca kolejowego i autobusowego, wielki, mogący pomieścić 400 osób, elegancki i wygodny. Widocznie taka już tu tradycja: albo dużo, albo nie. Prehistoryczni kielczanie wybudowali w swoim ówczesnym „kombinacie hutniczym” milion dymarek — prymitywnych pieców do wytopiania żelaza, arianie założyli w Rakowie wyższą uczelnię o światowej sławie, Stanisław Staszcz zorganizował z ogromnym rozmachem nowoczesny — jak na owe czasy — okręg przemysłowy: miasteczko Przytyk usytuowało się w samym geograficznym pepku Europy i nawet mały Suchedniów, jak już prowadzi handel to na skalę „rządową”.

Walory turystyczne Kielecczyzny są ogromne. Interesujący układ geologiczny i wspaniały krajobraz, wiele zabytków związanych z historią Polski, zabytki starożytności i staropolskiego przemysłu, tutaj znajdują się też liczne pamiątki po sławnych pisarzach. Kielecczyzna wręcz obfituje w miejsca wspaniałe walkami narodowowyzwoleńcymi.

Wszystkie te czynniki wpływają na ogromny rozwój ruchu turystycznego. Przeważa ruch krajowy, szczególnie młodzieżowy. Ponad 600 tysięcy osób odwiedza w ciągu roku Ziemię Kielecką, z czego większość to uczestnicy krótkotrwałych wycieczek autokarowych. Na wypoczynek świąteczny przyjeżdża z Warszawy, Łodzi i Śląska 160 tys. osób, uczestników rajdów ogólnopolskich jest 25 tysięcy, turystów zagranicznych — 10 tys. itd., itd. Jeżeli dodać do tego poważnie rozwinięty ruch turystyczny i weekendowy z samej Kielecczyzny — otrzymujemy się imponującą liczbę 2 milionów osób.

Reklama turystyczna chodzi różnymi drogami. Oto na przykład niedawno na rynku w Sandomierzu... zapadł się pod ziemię człowiek. Wydarzyło się to w biały dzień, przed kioskiem „Ruch”. Sensacja na pół Polski. Wycieczki wywalały się z autokarów i suną

nieprzychylnie w kierunku oszalowanej deskami dziury. Upał, słońce praży i choć wabi chłodnym wnętrzem bazyliki, oraz tysiąc i jeden zabytków Sandomierza — gdzie tam!

Sprawdziłem. Istotnie, na rynku w Sandomierzu, naprzeciwko kiosku, zapadł się pod ziemię jakiś mężczyzna. Ale żyw jest i cały! Nie cud to był żaden ani karzący palec Opatrzności, jeno rzecz w Polsce normalna: piwniczka bowiem znajdująca się pod rynkiem, nadwątlona zębem czasu — zawaliła się nagle i pod swymi szczątkami obywatela godnego omal nie pogrzebała. Cóż to jest w porównaniu z lubelską Bramą Krakowską, gdzie po kilku latach badań prowadzonych przez naukowców i po zlikwidowaniu dzięki tym badaniom starych piwnic, mogących spowodować runięcie zabytkowej budowli, robotnicy kopiąc dół, odkryli pod Bramą... dwie dalsze, puste i groźące zawaleniem piwnice...

Wszyscy wiedzą o dziurze w rynku, ale chyba mało który turysta orientuje się w sprawach o wiele dla siebie ważniejszych: że na przykład w Sandomierzu jest na ukończeniu wielki hotel turystyczny PTTK. Hotel jest nowoczesny, elegancki, będzie posiadał 360 miejsc, rozwiązuje nareszcie sprawę turystyki w tym rejonie.

A z zagospodarowaniem turystycznym jest w województwie kieleckim nie najlepiej. Kielecczyzna dysponuje dokładnie 4928 miejscami noclegowymi, czyli przypada mniej więcej 100 przyjezdnych turystów na jedno miejsce noclegowe (oczywiście w skali rocznej). Nie najlepiej wygląda również baza zaopatrzeniowa na turystycznych szlakach wędrownych. Z jednej strony eleganckie i dobrze wyposażone pawilony gastronomiczne wybudowane przez WZGS w Zawichocinie nad Wisłą oraz w nowym ośrodku wczasowym „Golejów”, szereg nowych punktów gastronomicznych, z drugiej — niefrasobliwość CPN, która odstrasza turystów zmotoryzowanych, zamykając w wielu miejscowościach stacje benzynowe już o godzinie szesnastej!

(Dokończenie na str. 8)

Boję się ciebie i myślę o tobie. Południe życia to północ myśli. Technicznie południa bijące z tamtej krainy jak bezszelestny przeciąg w pustym korytarzu. zehen allen vorbel wie ein flutiger Austausch.

To przypomina czyż oddech w sekundę przed uderzeniem. Wróciłeś. To dźwięk telefonu czy seria z automatu? Tego już nie wyleczysz. Za oknem szczerbate działo ruin w szczępej ulicy. Ja wiernulisa w moją gorod znakomij do słoz.

Za tę cenę niewielu stanie w oknie północy milczeć i czekać na inny — niż śpiew szybkości i w innym języku niż język czasu. Spopielił noc. When evening quickens faintly in the street.

Lublin

KRYSTYNA MAKUŁA

Gwałtownie naga

to jest morze dla oczu moich niedosięgie arterie pełne dźwięku po palce szybko niosę w dni złych dotknąć szukam — więc sprawność szaf i szaf podłogi każda rzecz ta każda rzecz bolesne nieporozumienie teraz rozwieszam włosy właśnie wiąże w supel muszlę dla morza odchodzę do zmysłów zupełnie naga w muzykę i szept

Lublin

Znany dziennikarz sportowy, Bohdan Tomaszewski pisze dla „Kamenu” wspomnienia z pierwszych powojennych meczów na Ziemiach Zachodnich.

21 LAT! Bilanse osiągnięć, spojrzenia na dotychczasowy dorobek, rysowanie perspektywy na przyszłość. We wszystkich dziedzinach naszego życia. A więc i w sporcie.

Pokuszę się o jakiś bardzo ogólny szkic o odbudowie i rozwoju polskiego sportu w ciągu ostatnich 21 lat. Lecz rozpamiętując tamte czasy często każdy z nas mimo woli sięga do własnych, bardzo osobistych wspomnień. A więc proszę wybaczyć, że przeniesiemy się daleko na zachód od Lublina i nieco wybiegniemy w przeszłość poprzez rok 1944, a nawet 1945. Ściśle mówiąc znajdujemy się na naszych Ziemiach Odzyskanych, w Koszalińskim i Szczecińskim, najpierw na schyłku lata 1945, a potem już wiosną 1946. Sport polski począł się wtedy żywiłowo odradzać, szybko „przesuwając swoje granice” i dążył za setkami tysięcy ludzi, którzy szukali swoich nowych domów i warsztatów pracy właśnie na nadodrzańskich i zachodniopomorskich ziemiach. Lublin i Łódź, Kraków, Warszawa i Katowice miały bogate tradycje sportowe i doświadczenia, przetrwały tylko na przeciąg kilku lat wojennych. Ale tam — w Koszalinie czy Szczecinie wszystko trzeba było zaczynać od nowa. A więc pierwszy start. Te słowa miały dla sportowca specjalną wymowę. Jerzy Chromik, mistrz Europy i były rekordzista świata do dziś wspomina z sentymentem swoje pierwsze debiutanckie galopie w Biegach Narodowych. Janusz Sidło także lubi powracać myślą do swych pierwszych chłopięcych występów, kiedy jako kilkunastoletni wyrostek rzucał zakrzywionym patykiem imitującym oszczep i zwyciężał takich samych, jak on. Rywalów otwierali z podziwu usta: — jak to ten Janusz ma diabelską siłę w ramieniu!

A więc proszę pozwolić i mnie, choć nie jestem mistrzem sportu, tylko dziennikarzem sportowym, że skreślę kilka wspomnień o tym, co sam przeżyłem. Jakis mały przyczynek do ogromnej i zresztą do

tej pory nie napisanej historii sportu naszego XXI-lecia.

Przypadek sprawił, że znalazłem się w roku 1945 w na wpół zniszczonym przez wojnę, niewielkim, przytulnym Koszalinie. Nie, nie myślałem jeszcze o pracy dziennikarskiej, zresztą nawet gazety jeszcze w tym mieście nie było. Przyszan, że nie myślałem również o sporcie. Były to czasy, kiedy główną potrzebą każdego człowieka był chleb i dach nad głową. Zatrudniony byłem w wojewódzkim urzędzie apropracji. Prozaicznie — i zdawałoby się praktycznie.

Zupełnie przypadkowo jeden z ówczesnych kierowników urzędu wojewódzkiego przypomniał sobie

kilka dni przy walowaniu bieźni lekkoatletycznej i boiska do siatkówki. Zawodnicy zaczęli wyrastać jakby spod ziemi. Poważni, więcej — dostojni urzędnicy miejscowej apropracji i kinofikacji, kwatunku i urzędu likwidacyjnego, po mozołnej pracy przy biurku pragnęli rozprostować nogi i plecy. Ni stąd, ni zowąd na podwórkach dawnych niemieckich domów, które teraz stały się nowymi domami polskich rodzin, zaczęto rozgrywać niejako spontanicznie pierwsze sąsiedzkie mecze siatkówki i koszykówki.

Zapał rósł. Pewnego dnia ktoś przyniósł do jednej kawiarenki w mieście wieść, że „na podkoszalińskich błoniach dwie grupy wariatów grają mecz

PRZEGRALIŚMY

BOHDAN

moją skromną osobę z czasów, kiedy parokrotnie spotkałem się na korcie tenisowym w czasie jakichś stołecznych rozgrywek, i zaproponował, żebym zajął się zorganizowaniem tenisa, siatkówki i piłki nożnej w mieście. — Sledzimy w Koszalinie już od paru miesięcy. Coś niecoś zrobiło się. Życie zaczyna płynąć coraz bardziej normalnym torem. Może tak pomysłilibyśmy o zorganizowaniu sportu? — zaproponował.

Ani się obejrzałem, a stałem się pionierem... Mój udział w tym szczytnym dziele, należy przyznać obiektywnie, był zresztą nad wyraz skromny. Po prostu za pieniądze otrzymane z urzędu Pełnomocnika Rządu RP, tak nazywał się wówczas urząd wojewódzki, zakupiłem kilka używanych par butów piłkarskich, piłek futbolowych i trochę starych rakiet, po nowo powstałych sklepach komisowych. Chętnych do gry znalazło się od razu sporo. Wyremontowaliśmy dwa korty tenisowe, przygotowaliśmy istniejące w nie najgorzejszym stanie boisko, popracowaliśmy

piłki nożnej”. Zwiastun tej nowiny był niesłychanie przejęty owym w istocie niezbyt wiele znaczącym faktem. Grają na błoniach!... Nietrudno było domyślić się, że losy przywiodły go do Koszalina z podwawelskiego grodu, znanego m. in. ze słynnych Błoni, gdzie wychował się i wzrósł niejeden wybitny polski piłkarz.

Przybył z innych stron — z Warszawy, Wileńszczyzny, Poznania czy Bydgoszczy — na tę wieść wykazali nieco więcej opanowania. Dopili do końca pałał się Boże czarna koszalińska kawę i pomaszrowali przez miasto, gdzie toczył się ów piłkarski bój. — Pierwszy na tych ziemiach mecz Polaków od czasów Bolesława Chrobrego — mówili zawzięci dowcipni warszawiacy.

Tak rozpoczęły się pojedyńki pionierskich drużyn na Pomorzu Zachodnim. Do Koszalina nadchodziły

Nazywają, nieprawdaz, rogacza — Kubusiem, sarenką — Basią itp. Czy ktoś, kto był złapał i wychował rysia, nie mógłby go nazwać Józefem? Chyba tak. Ale w tym oto wypadku chodzi o najbardziej o człowieka, z krwi i kości, żyjącego we wsi Łąka koło Rzeszowa.

Ryś przez wiele dziesiątków lat był wiejskim muzykantem. Wspominając muzykanckie życie i przygody, czy tylko o sobie pisze? Bynajmniej! Wspomina liczne rzesze „muzyków”, którzy tyle radości dawali polskiej wsi:

„Do muzyki miałem pociąg już od małego dziecka. Gdzie tylko usłyszałem dźwięki — a można je było usłyszeć wszędzie — i leciałem za odgosem choćby najdalej, — by wiedzieć i słyszeć z bliska... I słuchałem, słuchałem, nie mogąc się nasycić tymi tonami, które wydawały mi się słodziej od miodu. Patrzyłem też na muzykantów i ich instrumenty z wielkim zachwytem, mając ich za półbogów. Stanowił on dla mnie nieoceniony, najcenniejszy element na świecie. Patrząc na nich i słuchając ich grania, ruszałem do taktu całym ciałem, nie mogąc się nasycić wszystkimi palcami u rąk i nóg, aby zapamiętać melodie i móc ich (muzykantów) naśladować. W tym też celu zrobiłem sobie prymitywne skrzypce z deszczulek, bo nie miałem pieniędzy na zakup „prawdziwych”. A w domu mi nie dano „Zadziwych”. Na moich skrzypcach struny ze sznurów nici, nasmarowałem woskiem, włosem naciągnąłem kablukiem z patyka w rodzaju łuku, natomiast go żywicą i zacząłem grać”.

Czy nie coś podobnego, jak z „Janikiem Muzykantem”? Ryś napisał to sam o sobie. Też go bili, tyle, że nie „na śmierć”. Dokładnie znam muzykanckie życie pana Józefa — jak wielu innych, jemu podobnych — i to nie jest fantazja. Ostatecznie nauczył się grać i to doskonale. Co więcej, na wielu instrumentach. I zespół miał słynny na całą okolicę. A począł go organizować w tym czasie jeszcze, kiedy grywał na skrzypcach z „deszczulki”.

Urodził się w Łące, w r. 1898. W tej chwili — w r. 1965 — nie tylko sam jeszcze gra, ale nawet posiada zespół. Jest — jak w ciągu całej swej kariery — „prymistą”, na harmonii gra jeden jego syn (15 lat), na perkusji — coś robić, postępek — drugi z synów, 12-letni. Tylko, że synowie mają u ojca zrozumienie, pomoc i zachęty. Już za granie nikt ich nie ściga i nie bije.

Ryś nie tylko grał od dziecka, jeszcze wcześniej rysował, następnie malował. Tak sam o tym pisze:

„Rysować zacząłem, jak najdalej sięga moja pamięć. Wzięło się to z różnymi kłopotami. Po pierwsze, nie posiadałem żadnego materiału, potrzebnego do rysowania, ani ołówka, ani papieru, ani żad-

nej innej rzeczy. Pierwszymi przyborami, których zacząłem używać, była glina (niełatwie było „pogródki”, dokładnie wysuszone) i ścianna. Później porywałem (małe) świeconą kredę ze stołki i rysowałem, gdzie się dało: na stole, na blasie (kuchennej)... Zabrałem było wszystko. Obrzywałem ją za to niemało!”

Ryś z kolei opowiada o swojej pierwszej kompozycji, na dużych, białych płaszczynach pieca. Przedstawiała polowanie z nagonką. I ciągnie dalej:

„To było pierwsze moje „dzieło”. A potem już dalej: dwie moje siostry, matka, sąsiady, a przede wszystkim wszystkie dziady, jakie wiozły się po wsi i okolicy. Jednego bardzo rasowego dziada narysowałem ze żróbkami, którego prowadził na powrozek. Podobnie też był i wszystkim bardzo się podobał”.

Ryś lubił i lubi rysować charakterystyczne typy ze swojego otoczenia, w z lekką groteskowym czy nawet karykaturalnym ujęciu. We wsi ustaliła się opinia, że kogo podpatrzył i narysował (nikt mu nie pozował, rysował zawsze z pamięci), był zawsze podob-

ny i wszyscy „portretowanego” poznawali. Toteż...

„Oj, było z tym kłopotu niemało! Jedni przychodzili ze skargą (naturalnie do ojca), inni brali się do bicia, a jeszcze inni przeganiali tak, że trzeba było uciekać w pola i to co sili”.

Pewnego razu nasmarowałem na gnojnicę sąsiada, jadącego po pniaki do lasu. Poznał się i przyszedł z taką kłótnią, że gdyby nie krewni, którzy mnie obronili, byłbym dobrze od tatusia oberwał. Takich kłótni i skarg było więcej, ale to nie nie pomagało. Z kolei rysowałem już nie tylko zwykłych ludzi, ale i poważniejszych: jak księży, nauczycieli, organistów, nikogo nie oszczędzałem. Raz na stole w domu narysowałem bardzo podobnego księdza parafiala (miejscowego proboszcza). Pech tak chciał, że akuratnie organista chodził z opłatkami, stół nie był zakryty, zaraz poznał. Zapytał tylko: — a skąd się tu wziął ksiądz? prabab! Ja się skryłem na plecu, matka się speszyła, że to po odejściu organisty dostałem porządną porcję”.

Nie ma w tym najmniejszej przesady. Ryś, w formie „dokumentów” zachował do dziś całe teki takich „portretów”, istną galerię wszystkich ciekawych i charakterystycznych ludzi ze swojej wsi. Są to albo normalne portrety, z wybitnym podobieństwem, czasem — jak już wspominałem — można je zaliczyć do groteski lub karykatury. Galeria chyba jedyna w swoim rodzaju, jeśli nie unikalna.

Ale same „portrety” — najczęściej formatowo drobne, można powiedzieć

miniatury, czasem większych formatów — nie zadowalały autora. Bawiem najciekawszy nawet człowiek kiedyś umierał, zaś dla młodego pokolenia ostatecznie pozostawiały jedynie obrazek. Chociażby nawet i podpisany. Skąd ciekawy dowiedziałby się, dlaczego właśnie ten człowiek a nie inny został „uwieczniony”? A ponieważ Ryś ma epickie zacięcie — pod tym względem wyjątkowy człowiek wsi — obok portretów dawał opis, dłuższy lub krótszy, w zależności od „obiekta”. W opisie Ryś jednych traktował poważnie, innych pobłażliwie, jeszcze innych humorystycznie, satyrycznie, a czasem bardzo krytycznie.

Pan Józef jakby miał kilka „skór” czy dusz. Raz, opisując coś, filozofuje, pasjonuje go bowiem społeczna strona wsi, innym razem jest cięty i dowcipny, chłoszcząc wady i przywary indywidualne i społeczne; kiedy indziej, romantyzmem i liryzmem najczystszej wody. Maluje sentymentalne a nawet czułościowe krajobrazy czy winietki i sielankowe sceny, obok tego pisząc wiersze pełne liryzmu, rzewne, tęskne i sentymentalne. No... i jak takiego człowieka sklasyfikować? Pościągając aż prosi się o szeroką biografię, bowiem to postać w całym tego słowa znaczeniu renesansowa.

Na zakończenie próbka Ryśowej literki:

MIŁOŚĆ I WIOSNA
(Wieczór na wsi)

Gdzieś tam słonko daleko za lasem zachodził.
U studni na ligawce parobek zawodził.
A w suwarach na stawie zakumyla żaby,
Na pogródkach posiadły i chlapy i baby.
Bo wieczór był majowy, a gwiazdy na niebie
Przy pełni księżycowej mrugają na ślebie.
Chrabąszcze i komary brzęczą na przemiany,
Nietoperz bezszelestny też wyruszył
W tany.
W olśniewających zagajach, w opłotkach przy chatach,
Na przydrożnych rozstajach stanęli na czatach
Chłopcy, by z dziewczętami spotkać się posiedzieć,
Wielką jem swoją miłość szepsem wypowiedzieć.
Z konikami na neckę jedzie pastuch bosy,
Śpiewa: Miłość się rodzi z biedy i rozkoszy.
Piosenka brzmi czasami smutna lub radosna,
Bo wiosna to jest miłość, a miłość to wiosna.



Jeden z rysunków Józefa Ryśa

(Fot. A. Hadat)

zresztą meldunki, że i w Szczecinie zaczyna się rodzic sportowe życie. Działal tam już KS „Odra” — pierwszy polski klub sportowy na tych ziemiach.

Tymczasem wczesną jesienią 1945 roku z okazji dożynek w Koszalinie zorganizowaliśmy zawody w paru dyscyplinach: piłce nożnej, tenisie i budoj siatkówce. Święto to było okazją do wydania specjalnej gazety „Wiadomości Koszalińskie”, gdzie właśnie miałem zaszczyt umieścić swoje pierwsze sportowe sprawozdanie.

Prawdziwie wielkie dni dla sportu przypadły jednak dopiero na wiosnę następnego roku. Igrzyska Ziem Odzyskanych z okazji święta „Trzymamy straż nad Odrą”. Impreza przybrała charakter ogólnopolski.

był wtedy w Szczecinie. Nazywał się Stanisław Steczkowski.

Po igrzyskach wszystko szło jeszcze szybciej i sprawniej. Edward Łaukedrey, dawny bokser, a potem znakomity sędzia pięściarski, zajął się boksem, który opętał wielu młodzieńców Szczecina. W organizowaniu pierwszych sekcji klubów niemało pomógł mu stary poznański bokser — Skalecki. Trenował z młodzieżą solidnie, ćwicząc nowych adeptów pięściarskiej sztuki rekrutujących się spośród milicji, pocztowców, studentów, rzemieślników i — trzeba to powiedzieć otwarcie gwoźdź historycznej — chuliganów. Tych wyciągała z ciemnych zaułków portowej dzielnicy fama o jakimś

Tenis też miał swoich wyznawców. W Szczecinie znalazło się kilku dawnych graczy warszawskiej Legii, m. in. Popławski, reprezentant Polski, Księgo-polski i niżej podpisany. Przy głównej alei Szczecina zachowały się w nie najporządku stanie korty i na pół zdewastowany domek klubowy. Ryśko zaczęliśmy tam grać ścigając młodzież. Treningi trwały przez kilka tygodni i dopiero pojeździć do daleka posłana w aut piłką, która skryła się daleko w zarosłach... przypadkowo pozwolił nam odnaleźć jeszcze jeden kort — centralny, otoczony trybunami, ukryty zupełnie w głębi, o którym nawet nie wiedzieliśmy, że istnieje. Na tym właśnie kortcie, z którego najpierw trzeba było usunąć rozbitą samochód z literkami LW (Luftwaffe) — smętne reszki potęgi hitlerowskiej armii — zorganizowaliśmy w parę miesięcy później pierwszy między-narodowy mecz tenisowy pod firmą Budapeszt — Szczecin. Zjechały sławne zagraniczne rakiety z mistrzem Węgier Szigetiem na czele. Przyszły tłumy na ten mecz. 90 procent osób po raz pierwszy oglądało tenisa. Wszystkimi sposobami zaczęło się ludzi najpierw do oglądania widowisk sportowych. Obejrzą i spodoba się — może sami zaczną sport uprawiać.

Oczywiście przegraliśmy z Budapesztem. Stary Lis kortów Szigetia ograł mnie z łatwością, wygrał także z Popławskim. Za to drugiemu Węgrowi nazwałkiem Vad stawiliśmy zacięty opór i nawet miałem mecz-bola. Cóż, kiedy w decydującym momencie gry natychmiast zasiadł tuż przy korcie sam Szigetia i po kilku jego wskazówkach Vad zmienił taktykę i wygrał końcową spotkanie.

Przegrać mimo posiadanej piłki meczowej — to duża przykrość. Kiedy schodziłem smutny z kortu, osłoda był widok szczerze wypełnionych trybun okalających przypadkowo odkryty przez moich kolegów centralny kort. Jeszcze niedawno nikt nie wiedział o jego istnieniu. Teraz, pięknie przygotowany gościł zagraniczne sławy i jak magnes przyciągał do sportu nowych entuzjastów.

Takie były nasze smutki i radości w tamtych dawnych, trochę już zapomnianych latach pionierskiego sportu. Umyślnie więc przypominam te drobne zdarzenia, a przede wszystkim nazwiska: Steczkowskich, Łaukedreyów, Skaleckich, Popławskich i Chybińskich. Oni przecież stworzyli początek.

Z BUDAPESZTEM

TOMASZEWSKI

Z Warszawy przyjechała nawet piłkarska drużyna ówczesnej Legii i rozgromiła szczecińskich „pionierów”. Mecz ten odbywał się na stadionie w uroczym lesie arkońskim. To przecież od tej nazwy przyjęła swoją obecną drużyną piłkarską ze Szczecina, która występowała potem nawet w I lidze. Arkonia!...

W turnieju koszykówki wystąpił w barwach poznańskiej „Warty” sławny bokser Franciszek Szymura, a najszybszy wówczas polski pływak Marchlewski odnosił na pływalni triumfy dla gdyńskiej „Floty”.

Zawody były piękne. Ściągnęły na boiska wiele publiczności. Setki, tysiące osób — przybyły z najróżniejszych krańców naszego kraju — zetknęło się wtedy po raz pierwszy ze sportem. Igrzyska zorganizował właściwie jeden człowiek, choć rzecz prosta, miał do pomocy sztab ludzi i odpowiednio środki finansowe. Jego nazwisko pamięta każdy, kto

poznańniku, dawnym zawodnikowi umiętym w przeciągu kilku tygodni wyuczyć nieznaną ciosów i zastan, jakie zawsze przydać się mogą „szanującemu się” mężczyźnie.

W miejscowym gimnazjum działał magister Chybiński, idealista nie z tego świata, który ze słowem „sport” kojarzył pojęcia bezinteresowności, koleżeństwa i sprawiedliwości. Umiął te ideały zaszczerpie wśród niemałej grupki uczniów szczecińskiego liceum. Szybko poczęła tam królować lekka atletyka, w asyście szlachetnych dam dworu; siatkówki i koszykówki.

Na starej, przeraźliwie zimnej jesieni, krytej pływali, „Odra” i kilka innych klubów rozpoczęły systematyczne treningi pływackie. Szczeciński tor betonowy stał się terenem bodaj pierwszych w Polsce powojennej zawodów kolarskich. Błysnął tam ogromnym talentem Jerzy Bek — sprinter i długodystansowiec w jednej osobie. Toteż już nigdy nie zetknęłam się z nikim z tak wielkim udziałem do roweru!

Czego nie kupisz w Krakowie...

(Dokończenie ze str. 6)

Z wielkim pletyzmem odnoszą się władze wojewódzkie do miejsc wstawionych działalności partyzancką. Stawia się pomniki, kładzie płyty pamiątkowe. Wciąż jednak za mało przy drogach dużych, rzucających się w oczy tablice informujących o miejscach i walkach, które pomniki uświadcza.

Zle przedstawia się stan wielu obiektów zabytkowych. Straszny aruinowany Szydłów, (to drugie, po Paczkowie, polskie Carcassone), rozpaczyliwy jest stan zamku w Kurozwękach. Takich pięknie położonych starych zamków, pałaców, dworów, znajduje się na Kielecczyźnie sporo. Na ich konserwację nie ma odpowiednich funduszy. Dlatego władze wojewódzkie chętnie odstąpią je zakładom pracy na ośrodki czasowe. Za symboliczną złotówkę.

Poważny mankament to brak w Kielecczyźnie odpowiedniego informatora turystycznego. Właściwie Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej w Kielcach wydał systemem powielaczowym doskonały, przejrzysty, „Informator turystyczny na rok 1965”, ale u dołu pierwszej strony tego wydawnictwa jest napis: „Do użytku wewnętrzny”. Więc tylko nieliczni szczęśliwcy mogą szybko zorientować się w sprawach noclegu, wyżywienia, godzinach otwarcia stacji benzynowych, nawet w... zarybieniu rzek. Przeciętny turysta musi działać na oślep i w najlepszym wypadku zgrzebać się w obszernych i zawsze silną rzecz nieaktualnych przewodnikach, których nakłady są na ogół wyczerpane. Podobno „Informator” nie ukazał się w wolnej sprzedaży z powodu... „trudności z papierem”. A więc wydaje się miliony złotych na turystykę, której nie można odpowiednio rozpropagować, bo szkoda kilku bel papieru na publikację przyczyniającą się do poważnego rozwoju turystyki! W dodatku cała „publikacja” posiada 80 stronicek małego formatu. Tę liczbę można by śmiało zmniejszyć o jedną trzecią albo nawet o połowę, stosując małą czcionkę i oszczędnie gospodarując miejscem.

Na pewno wiele trudności i niedociągnięć wynika z faktu, że organizowaniem turystyki w województwie kieleckim zajmuje się kilkanaście organizacji lecz zagospodarowaniem terenu — tylko kilka. Główny ciężar spada tu na rady narodowe, gdy tymczasem takie przedsiębiorstwa i organizacje turystyczne jak „Orbis”, „Turysta” i „Gromada”, o średnim obrocie ponad 15 mln zł rocznie, nie zainwestowały dotychczas ani grosza na Kielecczyźnie. Także sposób przydzielania i wykorzystywania środków z Centralnego Funduszu Turystyki i Wypoczynku jest bardzo zawył i uciążliwy.

Nie zszedłem do podziemi klasztoru na Świętym Krzyżu. Przejaw indywidualizmu, czy snobizm? Może po prostu lenistwo? Trzeba bowiem zmarnować chyba godzinę wśród spoczonych wycieczek, ustawiających się w nieskończoną kolejkę w celu obejrzenia przez małe okienko doczesnych, zmumifikowanych szczątków Jarosła Wiśniowieckiego. Zresztą o wiele ciekawszy widok rozciąga się przed klasztorem: aż po daleki horyzont rozłożyły się wsie i miasteczka, kościółki i klasztory, i zamki warowne na lesistych wzgórzach — wszystko to, co stanowi o historii i pięknie Kielecczyzny. A tuż obok, po drugiej stronie Łysogórskiej polany, kończą wznosić budowlę, która będzie już pomnikiem naszych czasów — kilkusetmetrowy, betonowy walec przekątnikowej stacji telewizyjnej.

Technika wdarła się w życie złych duchów i wypiera je coraz skuteczniej z Łysej Góry. Może którejś jesienią zobaczymy na niebie klucz czarownic ciągnący do ciepłych krajów, aby już nigdy do Polski nie wrócić! Właściwie... szkoda by było.

Mirosław Derecki

BITWA na SZYLNACH

(Dokończenie ze str. 3)

To koledzy walczą z transportem, widocznie nie mogą go zdobyć na wysokim nasypie kolejowym. Wobec tego należy im pomóc i rzucić oporny pociąg z nasypu. Wówczas sam wpadnie im w ręce.

Tak. Trzeba „mój” pociąg zmienić w czołg i nim staranować broniący się jeszcze transport.

Ba, ale jak? Nie umiem prowadzić parowozu.

Czas nagli. Zeskakuje ze stopnia parowozu i pędem wbiegam na stację. Pod groźbą lufy, posłusznie, acz niechętnie, wraca ze mną mechanik.

Jedziemy naprzód! — rzucam krótko.

— Ależ tor zajęty... — belkoce, próbując oponować.

— Właśnie dlatego — ucinam wszelką dyskusję.

Zrozumiał. Krople potu występują mu na twarz. Lufa ma jednak swoją wymowę. Wsiadamy obaj. Drżącą ręką próbuje uruchomić pociąg. Po chwili koła zaczynają się zwolna obracać.

— Szybcieli! — krzyczę.

Dodaje pary.

— Jeszcze!

Pociąg zwiększa szybkość. Po twarzy mechanika spływa strugami pot. Pewnie w wyobraźni widzi nasze ciała zmasakrowane przy zderzeniu pociągów. Usta drżą mu nerwowo. Chyba odmawia ostatnie modlitwy za konających.

Uśmiecham się drwiąco.

— Ach, ty, sakramencki dziadu — myślę. — Idioto! Nie jestem kandydatem na samobójcę. Wcale nie zamierzam tak młodo umierać. Chcę tylko zobaczyć, jak pociąg przyspiesza biegu.

— Pełną parą! — rozkazuje.

Stoję na stopniach z lewej strony.

— Skacz! — krzyczę, widząc zryw pociągu.

Wypryskuje niczym z katapulty na prawą stronę.

Widząc go w skoku, nie czekam długo. Odbijam się od stopnia w przód, równoległe z biegiem pociągu i lecę z nasypu.

Wkrótce jestem znów na czele mojej grupy bojowej składającej się z „Lisa” i „Borysa”.

A niesamowity pociąg rwie, niczym torpeda!

Piekielne widmo

„Kruk” i „Paw”, którzy nie wytrzymali uprzednio tempa pościgu, nie próżnują jednak. Zarekwirowaną chłopską piłą zrzucają wzdłuż toru słupy przewodów telekomunikacyjnych. Przy tej robotce zaskakuje ich „mój” pociąg. Ledwie zdążyli zemknąć ze szlaku. Nie mogą pojąć, skąd ten niesamowity pociąg. Słyszeli naszą strzelaninę i sądzą żeśmy padli w nierówną walkę z Turkmenami, lub co gorzej, ranni dostali się do niewoli. A teraz „Ostlegion” z żandarmami w pościgu dąży z odsieczą broniącym się do upadłego hitlerowcom...

Szalony pociąg, nie kierowany już ludzką ręką, pędzi niby piekielne widmo! Na nic się zdają spóźnione strzały osłupiałych ze zdumienia partyzantów.

Usłyszały go jednak na czas czujne uszy młoch chłopców ubezpieczających teren walki od wschodu. Spokojnie przygotowują się na przyjęcie nieproszonego gościa. Powitaly niesamowity pociąg serie przeciwpancernych pocisków.

Ale on, kpiąc sobie w żywe oczy ze wszystkiego, pędzi naprzód, jak szwadron opętanych diabłów! Błyskawicznie przelatuje koło ubezpieczenia próżno starającego się przedziurawić kołami i mknie dalej. Zdetonowani żołnierze ubezpieczenia nie wiedzą, co o tym myśleć.

Nagle odgłos toczącej się walki przerywa potężny huk i trzask łamanych wagonów broniącego się transportu. To „mój” niesamowity pociąg całym impetem wbija się w hitlerowski transport, druzgocąc go od tyłu i spietrzając w piramidę, pod którą znajdują mogiłę ostrzeliwujący się w ostatnich wagonach nazi. Strzaskane wagony wraz ze spełniającym rolę czołgu pociągiem zaczynają się palić i po chwili ciemne chmury dymu wypływają pod niebo.

Taki był koniec niesamowitego pociągu. Ale nie naszej walki...

Mimo przelanej krwi leśnych strzelców transport nie został całkowicie zdobyty.

Tak się fatalnie złożyło, że na moment wcześniej od niesamowitego po-

ciągu zdążyła od strony zachodniej nadjechać odsiecz w postaci pociągu pancernego, by uratować od śmierci ostatki broniących się hitlerowców.

Maszerujemy śmiało w stronę transportu, tym bardziej, że „pluton” powiększył się znacznie (o ścigniętego „Pawla” i „Kruka”). Wystrzalił dział pancerny, którymi ścigano wycofujący się w walce oddział, bierzemy początkowo za wybuchy granatów. Później wszystko uciuchło wskazując na to, że transport jest już w ręku partyzantów, co zresztą potwierdziła (mój!) napotkana przypadkowo kobieta.

Zaskakuje mnie tylko fakt beztrioski leśnych strzelców: nie napotykałem na drodze ubezpieczenia! Przyspieszamy kroku. Na rozpoznanie postanawiam iść sam, lecz po krótkim namyśle (na moje szczęście) biorę ze sobą „Borysa”.

Przed nami płonie wykołojony i potrzaskany transport. Nie podchodzimy jednak od razu do samego wraku. Zastanawia mnie fakt, że nie widzę naszych. Sytuacja zaczyna mi się nie podobać. Wprawdzie za pociągiem (od strony pół ciagnących się do Tomaszowa) kręcą się jacyś ludzie, ale za wagonami nie widzę ich dokładnie, a partyzancki instynkt nakazuje ostrożność.

Tamci też nas spostrzegli. Jakiś człowiek przykucał między wagonami, bacznie nas obserwuje. Na chwilę zwieramy się wzrokiem. Nie, to nie nasi.

Nie nasi — a więc Niemcy. Ale jeśli to są Niemcy, to powinni do nas strzelać, a ci nie wykazują agresywnych zamiarów w stosunku do naszego rozpoznania. Ki djabiel?

Nagle pojmuje. Już mam rozwiązana pierwszą część zagadki. Od początku transport wydał mi się nadmiernie długi, a jego długość początkowo tłumaczyłem sobie złudzeniem optycznym. Mylnie. W rzeczywistości był za „długi”, ponieważ opuszczając pole walki pozostawiłem tylko jeden wykołojony pociąg. Teraz leżały dwa składy, w tym jeden „mój”.

Rzut oka w lewo wyprowadził mnie z błędu. Pociągów było trzy!

A tym trzecim, jest niemiecki pociąg pancerny.

Już rozumiałem, dlaczego nie ma naszych. Wyparci ogniem dział żandarmów zmuszeni byli wycofać się. Jedyne więc siłą przeciwko niemieckiej ekspedycji jest moja grupa licząca w tej chwili (wraz ze mną) pięć osób!

Tak więc spod turkmeńskiego deszczu wpadliśmy pod rynną żelaza i stali żandarmów. A to już nie przelewki. Pojawił się ogrom niebezpieczeństwa, ryknąłem:

— „Borys!” W tył... — rzucając się skokiem za nieopodal stojący budynek gospodarczy.

Dryblas „Borys” mignął mi przed oczyma i w tym ułamku sekundy pojąłem bierną dotychczas postawę żandarmów. Przecież „Borys” jest w kompletnym umundurowaniu Schutzpolizei! Druga część zagadki została rozwiązana.

Prawie równocześnie zagrały hitlerowskie empi i karabiny maszynowe. Wydaje rozkaz:

— Przed nami ogród, droga, następnie lekko wznoszące się pola. Ten odłonięty odcinek przebiegł możliwie najszybciej. Walką nie widać się! W wypadku bezpośredniego zagrożenia ra-

ZBIGNIEW ORLIŃSKI (ps. „Sławian”) rozpoczął działalność partyzancką w Przemyślu w r. 1941 w organizacji „Wolni strzelcy” Armii Krajowej. W r. 1943 został oddelegowany do Warszawy na przeszkolenie minerskie, które odbył w Kompanii Warszawskiej pod dowództwem ówczesnego kapitana „Zegoty” (Tadeusz Szumberk-Rychter). Kompania po przeszkoleniu wyruszyła na pomoc walczącej Zamojszczyźnie; na jesieni 1943 r. została odwołana do Warszawy, część jej jednak pozostała tworząc IV Kompanię Kadrową Oddziałów Partyzanckich 9 pp leg. W grupie tej znajdował się „Sławian” jako dowódca 1 drużyny, następnie otrzymał on nominację na dowódcę samodzielnego oddziału minerskiego. Gdy w lutym na Zamojszczyznę przybyli „kowpakowcy”, „Sławian” został przedstawicielem polskich partyzantów przy sztabie Kowpaka. Z chwałą ukończył wojsk radzieckich na ziemi polskiej wstąpił do wojska, do I Brandenburgiej Dywizji Lotnictwa WP. Dział jest działaczem ZBoWiD w Krakowie.

Orliński również pisywał wiersze. Publikował w konspiracyjnym piśmie „Powstaniec” wydawanym przez Obwód AK Bilgoraj, po wyzwoleniu w antologii „Pieśni Zamojszczyzny” znajdowały się jego utwory.

Zamieszczony fragment jego relacji dotyczy bitwy stoczonej przez oddział minerski z konwojami trzech wojskowych transportów na odcinku kolejowym Bełzec — Zwierzyniec dnia 30 kwietnia 1944 r.

bać w biegu i otwierać drogę granatami. A teraz skokami, kierunek las — naprzód!

Posypały się za nami serie broni maszynowej, przyniatają do ziemi. Ktoś pada w rowie, przy drodze...

— Nie zatrzymujcie się! Naprzód! Naprzód! Skokami! — przynaglam.

Jazgot karabinów maszynowych wzmacniających wkrótce wybuchy pocisków artylerii pociągu pancernego. Wszystkie moce piekielne sprzymierzyły się przeciwko naszej partyzanckiej piątce.

Ale moi chłopcy wyszkoleni pierwszorzędnie. Podrywają się, biegną, padają, znów biegną. A zbawczy las tuł.

Wybuch pocisku z działa rzuci „Borysa” na ziemię. Widzę, że krwawi. Ale znów się podrywa i biegnie. Widać, że nie groźnego.

Dopadamy ściany lasu i wglębiamy się wewnątrz. Tu już możemy kpić sobie z teutońskiej furii. Przypadamy za wzgórzem w martwym polu ostrzału, by odebrać i ustalić straty, opatrzyć rannych.

Na szczęście, strat nie ma. Nawet zdobyty aparat telefoniczny uratowany. Rany okazują się powierzchowne, żołnierze są w dalszym ciągu zdolni do akcji...

Zbigniew Sławian Orliński

Serdeczne przyjęcie



Jak już informowaliśmy, w Brześciu przebywał z wizytą Państwowy Teatr im. J. Osterwy. Moment serdecznego powitania na moście granicznym.

Autor tych wspomnień, którego nazwiska ze zrozumiałych względów nie podajemy, był przez dwa miesiące na leczeniu odwykowym w zamkniętym zakładzie dla alkoholików. Otrzymał większość pacjentów — to ludzie skierowani tutaj przymusowo wyrokiem sądu. Czerdzistu mężczyźni odseparowanych od świata i ludzi. Histerie, kompleksy, cienie alkoholowej przeszłości...

Zbudziło mnie chóralskie krakanie. Olbrzymie stada gawronów upatrzyły sobie szpitalny park na wiosenną rezydencję. Czarne ptaszyska od świtu rozpoczynają swarliwe kłótnie. Dzisiaj w budzeniu pacjentów zastępują oddziałowego, który w niedziele ma wolne. Oddziałowy zwany „szeryfem” jest postrachem wszystkich pacjentów. Wprowadził na oddziale łacie wojskowy dryl. Zresztą sam regulamin wywieszony w gablotce został ułożony na zasadzie nakazów i zakazów. O 6 rano pobudka. Po posianiu łóżek aż do godziny 22.00 nie wolno przebywać w sypialni i położyć się do łóżka. W „barze odwykowym” i w klubie, gdzie stoi kupiony za pieniądze pacjentów telewizor, nie wolno przed południem ani pisać listów, ani czytać książek, ani w ogóle wchodzić. Jedynym pomieszczeniem dostępnym dla pacjentów jest świetlica. 40 ludzi wałęsa się z kąta w kąt po tym pokoju, przeszkadzając sobie wzajemnie. O byle drobny wybuchają awantury. Minuty wloką się jak godziny, godziny są jak dni całe. Wskazówki zegara zdają się tkwić w miejscu. Nuda, przemóżna, przepotworna, gorsza od najcięższej pracy wyziera z każdej twarzy. Ale najgorsza jest niedziela — dzień wizyt.

Oczekiwanie. Nieuchwytna atmosfera napięcia i niepokoju zmaguje z twarzą pacjentów „V A” szminkę beztrostki. Na asfaltowej ścieżce pojawiają się grupy odwiedzających. Wszyscy wypatrują swych najbliższych, o których tak często zapominali tam, na wolności. Olbrzymia większość na próżno.

Praca za 3 zł miesięcznie

Dzisiaj przyjechały zaledwie cztery osoby. Ale i ci wierzby są jakcy skrepowani. Po pierwszych słowach powitania i zdawkowych pytań o zdrowie i sąsiednich rozmowy jakos się nie kleją. Nowiny też są na ogół nie najlepsze. Wszyscy pozostawili swych najbliższych w trudnych warunkach materialnych. Rodziny kłębą biedę, z trudem latają alkoholowe wyrwy w budżecie. Więc i o czym tu mówić? Koszmarna przeszłość, niepewne jutro. Obustronne urazy, niemal każdy temat jest drażliwy. Większość pacjentów, gdy im na dobre wysumnia z głowy resztki alkoholowych oparów, wije się na oddziale, jak piskorz. Budzą się wyrzuty sumienia, pragnienie działania, pomagania rodzinom. Chcą pracować, chcą zarabiać pieniądze. Nie dla siebie, dla swych najbliższych. I nie mogą. Chociaż istnieje tzw. terapia zajęciowa.

W suterrenach naszego pawilonu mieści się przychodnia warsztat wielobranżowy. Część pacjentów naszego oddziału chodzi tam codziennie do pracy. Pracują po sześć godzin. Od 8 do 12 i od 13 do 15. Warsztat produkuje torebki z folii i kaptcie zwane popularnie laczkami. Za „godziwą” — jak głosi regulamin — pracę otrzymują godziwe wynagrodzenie: 10 „Sportów” dziennie, skromniutki dodatek żywnościowy i miesięczne wynagrodzenie wynoszące 2-3 zł (słownie: dwa, trzy złote).

Na oddział zawitał ongiś w charakterze gościa pewien dziennikarz i napisał w jednym tygodniku ni mniej ni więcej, tylko że pacjenci z „piątego A” zarabiają tu po 1000 zł. Jaki się podniósł szum! Interweniowały przede wszystkim rodziny pijaków. Gdzie się podziwiała te pieniądze? My jesteśmy pozostawieni przez naszych mężów i ojców na pastwę biedy, a oni tam zarabiają krocie! Trzeba było wyjaśnić i tłumaczyć, chociaż trudno w ogóle wytłumaczyć te dwuzłotowe miesięczne zarobki. Dlatego też wysokiego, przystojnego kierownika warsztatu nazywają wszyscy „bankrutem”.

A przecież kiedyś było inaczej. Pacjenci pracowali w pobliskim PGR i zarabiali rzeczywiście pokaźne sumy. Część zarobków zabierał — i słusznie.

— szpital na pokrycie kosztów utrzymania alkoholików, a resztę przekazywano rodzinom. Telewizor „Neptun” ozdoba oddziałowego klubu, kupiony został właśnie przed laty przez pracujących pacjentów. A teraz co? Ci, którzy nie mają grosza, chcą nie chęć spędzają czas przy beznamiętnych zajęciach, bo ostatecznie lepsze 10 „Sportów” niż nekająca nuda oddziału.

Papierosy tutaj są zresztą i wśród pacjentów jedynym środkiem płatniczym. I to jak cenny! Na oddziale wszystko robią sami pacjenci. Po śniadaniu czterech dyżurnych zamiata i froteruje podłogę w świetlicy, dwóch duża sypialnię, po jednym pozostałe pomieszczenia. Wszystko według ustalonego grafiku. Dyżur w świetlicy wypada raz na 6 dni. Najgorsze są piątki. Tego dnia trzeba wpięć zeszkrobać podłogę, a później zapasować. Robota w pocie czoła na 3 godziny. Ale można sobie kupić zastępce. Dyżur zwykły — 10 papierosów, piątkowy 30-30. Podobnie wszystko przelicza się na „fajki”. Pranie koszul, dresów, przyszywanie guzików, prasowanie — wszystko według ustalonej tytoniowej taryfy. Nawet w brydza, czy domino gra się po ciechu o papierosy. Oczywiście, jeżeli oddziałowy „szeryf” w ogóle pozwala grać. Bo często zabrania. Za każde nawet najdrobniejsze uchybienie sypią się kary, kary i jeszcze raz kary. Zakaz gry, zakaz oglądania telewizora, zakaz gry w piłkę podczas spaceru. Ja zresztą do „szeryfa” miałem wyjątkowe szczyście. Zaraz drugiego dnia w poniedziałek „podpadłem” trzykrotnie. Wyrzucił mnie z dyżurki, gdy nie proszony poszedłem upomnieć się o dres i lyżkę do jedzenia. Przepędził mnie z klubu, gdy poszedłem tam czytać książkę, a około godziny 11.00 wybuchła łutna awantura. Właśnie graliśmy w brydza, gdy wszedł „szeryf”.

— Panie W. — zwrócił się do Witka weterynarza, który był moim partnerem. — Zaraz panu wydaję ubranie, proszę pakować manaki. Jutro zostanie pan karnie wypisany ze szpitala.

— Dlaczego, za co?
— Pan sam wie dobrze za co. Jednemu z pacjentów schował pan wczoraj wieczorem materac z łóżka.

Ktoś zrobił dowcip, podejrzanie padło na Witka, „szeryfowi” to wystarczyło. Ująłem się za Witkiem. Oddziałowy poczerwieniał na twarzy.

— Panie X — to do mnie — Pana tutaj też nikt nie trzyma. Proszę bardzo, droga wolna...

Ale mnie już poniosło.
— Nie pan mnie do szpitala przyjmował i nie pan mnie będzie wypisywał. Chcę rozmawiać z lekarzem...

Niestety, na rozmowę z lekarzem musiałem poczekać jeszcze ponad dwa tygodnie.

Piąte koło...

Dni podobne do siebie, jak paciorki różnca mijają bez echa, bez wrażeń, zlewają się w jeden długi ciąg. Trochę już zgubiłem rachubę czasu. A więc to już niemal trzy tygodnie. Nikt się nami nie interesuje. Jeden lekarz oddziałowy „wybył”, drugi jeszcze nie „przybył”. Ordynator też się nie pokazał ani razu. Trudno mu się zresztą dziwić: na piętrze ma pod swoją opieką 150 ciężko chorych psychicznie pacjentów, więc się nimi zajmuje. A my, co? My, piąte koło u szpitalnego wozu. Chociaż oficjalnie mówi się i pisze, że alkoholizm jest chorobą społeczną, nawet w świecie lekarskim wielu ludzi jest odmiennego zdania. Może i racja. Pozostawieni sami sobie kłami się we własnym sosie. „Szeryf”, felcer Lucjan na zmianę z siostrą Marysią i czerdzistą nie tyle rozbójników, co pijaków. Już straciłem nadzieję, że ujrę tu jakiegokolwiek lekarza, gdy pewnego dnia rano gruchnęła na oddziale wiadomość:

— Wizyta.
„Terapia zajęciowa” nie poszła do warsztatu. Prezes zarządził zbiórkę w świetlicy. Ustawiliśmy się w długi szereg. Ordynator z nowym lekarzem oddziałowym, kobietą z francuska wymawiającą „r” i naszą rodzimą świtą rozpoczął od lewego skrzydła. Powta-

rza się sakramentalne pytanie:

— Jak się pan czuje?
Gdy przysłała moja kolej, zgodnie ze zwyczajem powiedziałem nazwisko.
— Nowy?
— Prawie miesięczny — odrzekłem.
— I co?
— Czekam...
— Musimy z panem porozmawiać — zwrócił się do lekarki.

Czekałem na tę rozmowę i przygotowywałem się do niej pieczołowicie. Kilkutymgodzinowe obserwacje oddziału „V A” nie nastrajały mnie zbyt optymistycznie co do organizacji i celowości istnienia oddziału w dotychczasowej formie. Kiedy znalazłem się u ordynatora w gabinecie i wyczerpałem już temat, dotyczący mojej alkoholowej przeszłości i stanu zdrowia, za zgodą lekarza rozpoczęliśmy ogólniejszą dyskusję. Powiedziałem mu, że oddział nasz jest czymś pośrednim między zwykłym a przytulkiem. Jedni utopiwszy wszystko w kieliszku chronią się za szpitalne mury, inni są tu zamknięci na „pół kalendarza” i z nudów dostają prawdziwego bzika. Zastraszając jest przede wszystkim alkoholowa recydywa. A na to ordynator:

— Powiem panu szczerze: na alkoholizm nikt jeszcze nie wynalazł radykalnego lekarstwa. Kuracja Feldmana, którą obecnie powszechnie stosujemy, ma jedynie wyrobić w organizmie odruch tarunkowości, odrzucić wódkę oraz sam zapach alkoholu i środowisko knajp. Dlatego nasz „bar odwykowy” został urządzony na podobieństwo restauracji. Ale z czasem odruch ten zanika i jeżeli ktoś nie ma silnej woli i dobrych chęci...

Lekurz rozłożył ręce.

— Na wstępie użył pan dwóch słów: „przytułek” i „wziesienie”. Przyznaję, że dla pewnych jednostek ten oddział jest ostatnią deską ratunku. A jeżeli chodzi o „wziesienie”... Niech pan nie zapomina, kim są pacjenci oddziału „V A”. Alkoholowi przestępcy skazani prawomocnym wyrokiem na przymusowe leczenie. Czy zastępują na specjalnie łagodne traktowanie, czy należy im stworzyć cieplarniane warunki? Pobyt tutaj jest karą, powinien więc odstraszać, a nie zachęcać!

Jeżeli chodzi o odstraszenie, to chyba oddział nasz znakomicie spełnia to zadanie, ale przecież, u licha, nie tylko o to chodzi. Rygor, dyscyplina i nuda drażnią nerwy i psychikę. Czy tymi jedynie metodami szpital chce leczyć ze zgnębienia, przywrócić tych ludzi do społeczeństwa? Pacjenci przez sześć miesięcy młotają się w czterech ścianach świetlicy. Nie ma przepustek, ani urlopów, które byłyby sprawdzianem, czy na wolności potrafią już omijać knajpy. Później przed komisją biją się w rachityczne piersi przysięgając, że już nigdy więcej i na słowo honoru, albo raczej humoru, otrzymują warunkowe zwolnienie. I w pierwszym barze spijają się do nieprzytomności. Błędne koło.

— Czy pan nie uważa, że zamiast pseudo-szpitalnych oddziałów należy dla alkoholików stworzyć obozy pracy, gdzie byłiby użyteczni?

— O, to pan powiedział — uśmiechnął się lekarz. — A jeżeli chodzi o pana, czy zgadza się pan na kurację Feldmana?

— Oczywiście...

Apomorfina

— Apomorfina.

Przez szereg tygodni, po kilka razy dziennie słyszałem to hasło i obserwowałem spod oka pięciocobową kawkadę cieni, zdążającą do gabinetu zabiegowego. A teraz ja sam jestem obiektem zainteresowania współtowarzyszy niedoli.

— Pij przed zastrzykiem dużo herbaty, to będziesz miał czym rygać.

— Wódki nie przetykaj. Płucz tylko usta. Udawaj, że „bierze” cię sam zapach.

— Nawet jeżeli cię nie ruszy, bekaż jak jeleń na rykowisku, bo inaczej zaraz ci zciężka dawkę.

Ile osób, tyle zawiśniętych rad. Na

temat kuracji apomorfinojowej, zwanej fachowo kuracją Feldmana, poglądy w szpitalu są absolutnie podzielone. Każdy inaczej reagował na zastrzyki. W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej znalazłem słowo „apomorfina” i wynotowałem skrzętnie: „Apomorfina $C_{17}H_{19}NO_5$ alkaloid otrzymany z morfiny przez działanie mocnych kwasów... Chlorowodorek apomorfiny... stosuje się jako środek wymiotny, podawany podskórnie”.

— Apomorfina.

Jest godzina 6.30. Idziemy w pięciu gęsiego do gabinetu zabiegowego. Felcer Lucjan, który ma właśnie dyżur, mierzy nam ciśnienie. Każdy otrzymuje małe kieliszki... kofeiny. Teraz mamy pół godziny oczekiwania. Już po kilku minutach kofeina daje o sobie znać: czuję się dziwnie lekko i wesoło. Gdy drużyna dyżurna wybiera się po śniadanie, rozlega się ponownie donośny głos Lucjana:

— Apomorfina...

No, my śniadania jeść nie będziemy. Ukłucie w ramię. Ciekawie spoglądam na podziałkę strzykawkę. Tłok przesuwają się o cztery kreski. Najmniejsza dawka. W oddziałowej kuchni wypijam duszkiem pół litra zielowej herbaty. Nie mnie nie bierze. Z umywalni zabieram przydzielowy nocyk zwany tutaj „telewizorem” i idę do „baru odwykowego”. Po chwili przy restauracyjnych stolikach rozsiada się reszta apomorfinojowej kompanii. Jest wreszcie i Lucjan. Przynosi na talerzyku pięć wypełnionych po brzegi kieliszków wódki. Każdy sięga po swoją porcję. Już na sam zapach krzywią się nie-milosierni. Udać, czy naprawdę? Unoszą do ust, przechylają. I natychmiast zwracają do „telewizorów”. Robi mi się mdło na ich widok. Szybko wypijam pół kieliszka. Nic. Nawet smakuje. Druga połowa idzie jak po maśle. Pierwszy z naszej piątki opuszczam bar z puściutkim „telewizorem”. Dumnie kroczę przez świetlicę. Właśnie wszyscy siedzą przy śniadaniu. Smacznego, panowie. W sypialni kładę się do łóżka i nagle...

Ostatni etap

Uderzenie pałąk w głowę. Oszłomienie, bezwład. Potworny lęk i wrażenie zapadania się w przepaść. Wnętrzości wyrwają się, kurczą, podchodzą pod gardło. Torsje nadchodzą falami. Nie ma już czym. Wydaje mi się, że wypływają własne jelita. Zresztą nie już n'e wiem i nie czuję. O Boże, znowu! Powoli torsje mijają, ale stan zamroczenia trwa nadal. Kac po pięciogodniowym pijaństwie jest dzieciną igraszką w porównaniu z poapomorfinojowym samopoczuciem. Nawet nie wiem, kiedy zapadam w majakalny sen. Przebudzenie jest szokujące. Nic mi nie dolega. Działanie apomorfiny tak jak nagle owaładnęło moje ciało, równie nagle zniknęło.

— Apomorfina.

Nie, nie pójde. Za jakie grzechy? Ale idę. Znowu zastrzyk i wódrówka do baru. Wódką płuczę teraz tylko usta. Nic nie pomaga. W pokoju ponownie powtarza się uczucie uderzenia w głowę. Działanie zastrzyków nie ogranicza się do mdłości. To zaledwie niewielka cząstka apomorfinojowych sensacji. I to tak ma być przez 20 dni po czterech zastrzykach dziennie. Śniadania nie jadłem, obiadu również. Na kolację też nie mogłem patrzeć. A nazajutrz od rana ponownie apomorfinojowe męczarnie. Kiedy po trzecim zastrzyku jestem u kresu wytrzymałości, w sali naszej zjawia się oddziałowy.

— Pańska kuracja przerwana.

Nie wierzę własnym uszom.

— Co się stało?

— Dzisiaj dopiero przyszedł pana wyniki prześwietleń. Ma pan wrzód na dwunastnicy.

Przyznaję ze skrucą, że smutną tę wiadomość przyjąłem radosnym „Hurra”.

— Apomorfina — woła Lucjan.

Ale mnie to już, na szczęście, nie dotyczy. I nie życzę najgorszemu wręgowi.

„Fair” czy nie „fair”?

NIEDAWNO jeden z cenionych starszych panów gwałtownie frasobliwie o piosence rzucił lewizmo wesołą definicję: gdy ktoś przywłaszczył cudzy utwór, mówi się „plagiator”, gdy bierze treść od dwóch autorów, staje się „kompilatores”, jeśli od kilku — „erudyta”. Zart zatem, atoli bardzo już poważną troskę zaczyna budzić grąsząca oficjalnie po cudzej własności „adaptacja”, proceder usankcjonowany obyczajem i ustawami, procentujący legalnie w ZAKS-ie i analogicznych instytucjach za granicą. Złożone zjawisko objęte terminem „adaptacja” pełni się nie od dzisiaj żywiołowo przede wszystkim w strefie przyteatralnej, bo teatr wciąż łaknie nowości, a nowaliki sceniczne stosunkowo — najłatwiej — dają się uprawiać na gruncie starej literatury — klasycznej, spopularyzowanej. Co skłania żączywca do podjęcia prac adaptacyjnych? Niewątpliwie za fascynowanie czytelników dziełami klasycznymi i oczywiście korzyść materialną. Sprawa jest niebiała, wymagałaby ona generalnego przewidywania. Nie po to, żeby potępić w czambuł wszelkie zabiegi adaptacyjne, lecz by wytyczyć im rozsądne granice. Miejmy nadzieję, że do tego kiedyś dojdzie, na razie chodzi mi tylko o jeden konkretny casus.

Czy dobrze się stało, że Operetka lubelska wystawia oślawioną „My fair lady”, tj. znakomitego „Pigmaliiona” sprowadzanego w Ameryce na modę musicalu? Cóż, pewno dobrze, skoro operacja była już faktem nieodwracalnym i pacjent żyje na licznych scenach. Dlaczegożby nie pokazać Lublinowi światowej sensacji, widowiska barwnego, ciekawego, dowcipnego? Żle natomiast, bez wątpliwości bardzo źle, że dyrekcja Teatru im. J. Osterwy nie dała się wcześniej namówić na wznowienie „Pigmaliiona” autentycznego, który jest o wiele ciekawszy, o wiele dowcipniejszy, ba — integralnie sensowniejszy od przeróbki. I raczej gorzkie refleksje nasuwa wiadomość, iż „kompozytor razem ze scenarzystą schowali do kieszeni po ćwierć miliona dolarów czystego dochodu” ze zbanalizowanego arcydzieła Bernarda Shawa, które bez ich zabiegów może się obronić przed zapomnieniem, w czym mu powinni pomóc utalentowani reżyserzy.

Nurtuje mnie niesforna myśl — co by na to amerykańskie przedsiębiorstwo powiedział sam George Bernard Shaw? Może z właściwą sobie przekorą uśmiełby się ze splatanego mu filiga (zwłaszcza że jego prawa autorskie jeszcze nie wygasły, więc coś nieco byłby na transakcji utargował), a może by wybuchnął srogim gniewem i wtedy miałby całkowitą rację, bo ów zgrabny na ogół musical stoi jed-

nak w zasadniczej sprzeczności z pierwowzorem. „Pigmaliion” wszakże, jak wszystkie sztuki Shawa, był wyraźnie dydaktyczny. „Anglicy — powiedział Shaw — nie szanują własnego języka. Nie uczą słuch dzieci prawdziwej mowy. Anglia pilnie potrzebuje pewnego reformatora: musi nim być entuzjasta fonetyki. Oto dlaczego uczyniłem zeń bohatera popularnej sztuki”. Więcej: społecznikowi G. B. S. chodzi o uwydatnienie wadliwej struktury społecznej, przy której ogląda nabyta przez ozywioną Galatę — Elizę nie ma praktycznego zastosowania poza popisami w snobistycznym towarzystwie. Wykpił to towarzystwo. Nie dość na tym: wiadomo, do jakiego stopnia wzdrgał się przed sentymentalizmem. Mit o Pigmaliionie posłużył mu jedynie za odskocznik, a sprawa możliwej wzajemnej miłości profesora Higginsa i kwiaciarki Elizy bynajmniej go nie interesowała. Dopisał nawet po tem posłowie, w którym wydaje Elizę za Freda, by się do fonetyki żadne amory nie mieszały. Cóż z tych nauk i nakazów G. B. S. pozostało w musicalu — co zresztą mogło pozostać, bo przecież musical rządzi się swoimi prawami? „Będzie was na pewno wzruszała historia biednej kwiaciarki, która musi walczyć przeciw środowisku, z którego wyszła, i dobić się o miejsce w nowym, które z początku nie chce jej (! — przyp. M. B. R.) zaakceptować, walczyć jednocześnie z dumą i miłością dla Higginsa” — pisze w programie Zdzisław Sierpiński — „będziemy obserwować kapitalne sceny pomiędzy profesorem i papą Doolittlem oraz jego kompanami; i na pewno salę opuścimy z uśmiechem zadowolona twarz, syci dobrej muzyki i dobrego teatru...”

Co do mnie, przyznam się, że czułam raczej niedosyt, brakowało mi autentycznego Shawa, toteż powołałam sobie ten niedobór natychmiast w domu odczytując na nowo „Pigmaliiona”.

Niezależnie od powyższych uwag pragnę wyrazić przekonanie, iż „My fair lady” musi podobać się widzom, którzy nie znają oryginalnej sztuki Shawa. Wykorzystano zresztą kilka jej scen, są one źródłem niezawodnego humoru. Muzyka Fridericka Loewego jest w miarę eklektyczna, melodyjna, wpadająca w ucho. Teksty piosenek dowcipne — mocno podejrzewam, że za sprawą tłumacza, Janusza Minkiewicza.

Natomiast grzechem głównym adaptacji Alana J. Lerner'a (jeśli nie uważać za grzech główny spliczenia treści nakazanego zmianą gatunku scenicznego) jest nadmiar. Aż 18 obrazów! A skrócić ten opus niełatwo: „określił się” sceny Shawa — rzeczą stracił na humorze i sensie, usunie trochę tańca i śpiewu — zatraci się charakter monumentalnego musicalu. Zastanawiam się jednak, czy nie warto by odciąć część (wprawek fonetycznych (zresztą zabawnych!) dopisanych do tekstu Shawa. Albo zredukować do minimum „tańca kwiatów” w II akcie, dochć tandetnego i mniej sprawnego (zachwiania) w porównaniu z innymi.

Na ogół można stwierdzić z satysfakcją, że nasz teatr muzyczny osiąga coraz wyższy poziom.

Lubelskie przedstawienie „My fair lady” świadczy o dużym nakładzie inwencji, pracy kosztów. Inscenizator i reżyser, ROMAN SYKAŁA, wykorzystał z talentem wszystkie możliwości, jakie daje tekst musicalu, by stworzyć widowisko urozmaicone, pełne ruchu, wesołe, zabawne i sentymentalne w miarę kanonów komedii muzycznej. Sceny ocalone z „Pigmaliiona” są grane z należytą werwą, wszystkie składniki spektaklu skoordynowane bez zarzutu. Sympatyczny warszawski STANISŁAW STANISIAKIEWICZ należy się wielkie uznanie za pomysły choreograficzne, zwłaszcza za uroczyste tańce „wyścigowe” (fenomenalne crescendo swobodnego tańca). Dekoracja LECHA ZAHORSKIEGO jest mądra, praktyczna, bez operetkowych ozdób (może przydadoby się tylko nieco więcej oszklówek w „laboratorium” Higginsa, dużo ciekawego materiału daje przecież didaskalia „Pigmaliiona”). Mówiąc o osiągnięciach teatru muzycznego nie można też pominąć czystego brzmienia chóru (pod kierownictwem TADEUSZA CHYLEY) i orkiestry, nad którą pracują: STANISŁAW RĘBY, WŁADYSŁAW KABALEWSKI, MIECISŁAW KOŁOWSKI, HENRYK ORŁOWSKI.

I wreszcie ulubieniec publiczności — solista. Rola Elisy wykonują: FELICJA JAGODZIŃSKA i AURA SZYMANOWSKA. Na premierze wystąpiła F. Jagodzińska. Mimo to było się przekonane, że zarówno wokalistka, jak dramatyczny talent artystki bardzo się w ciągu ostatnich dwóch lat rozwinęły. Jej Eliza pełna jest autentycznego wdzięku. Nader atrakcyjną pozycją przedstawienia stał się Alfred Doolittle,

którego grał JAN ROWIŃSKI nie zniechęcając żadnego z waleńców szawowskiego dialogu ani żadnej z szan, jakie inscenizacja ofiarowała aktorowi mogaćemu zademonstrować bogaty głos i uducholenia taneczne, WITOLD KALUSKI, znany artysta teatrów warszawskich, przy całym zasobie środków świetnego warsztatu stworzył jednak postać, która raczej nie przylega do naszych wyobrażeń o Higginsie uczonym-ekscentryku. Ale interpretacja piosenek „Puść kobietę pod swój dach”, „Czemu kobiety to nie to” i „Przywykłem” była fantastyczna. Piosenka też („Wygrał pan na czysto” — tak to zdaje się brzmieć!) stała się ozdobą roli Pickeringa (TADEUSZ SOSNOWSKI), któremu adaptatorzy nie dali większego pola do popisu. Należycie dostojna była XENIA GREY w roli gospodyni Higginsa, Pani Pearce, pragnęmy jednak cieszyć się w następnej sztuce jej werwą wiodącą. Rola Pani Higgins jest w musicalu okrojona tak dalece, że nie pozostało widzącemu innego, niż podziwiać godną postawę ZOFII HROŃKOWSKIEJ oraz jej śliczne tańce i przyśpiewki, a w końcu, iż wyłączone stanowiąc za młodo jak na matkę blisko czterdziestoletniego profesora fonetyki! I — last but not least — postać Freda Eynsford-Hilla w wykonaniu MARIANA JOSICZA wypadła zupełnie przyjemnie, wydaje mi się tylko, że artysta nieco forsuje swój głos (może zresztą był niedysponowany). Pozostali wykonawcy byli również na wysokości zadania.

„Fair czy nie fair?” — zapytałam w tytule. Otóż i tak i nie. Angielskie słowo „fair” ma dwojakie znaczenie. Znaczący „piękny”, lub „czysty”. Pokazany nam musical jest „fair” w sensie pierwszym, jako widowisko ładne, estetyczne, atrakcyjne, nie jest natomiast „fair” w odniesieniu do swego pierwowzoru — „Pigmaliiona”, o którym daje pojęcie raczej opaczne. O ileż by nobliwszym osiągnięciem Loewego było napisanie również wdzicznej muzyki do samodzielnego libretta, niż zapożyczanie się u sławnego Irlandczyka, który adaptacji nie potrzebował.

No ale powstała, lubelski spektakl bawi skutecznie, a więc proszę pójść go zobaczyć. „Pigmaliiona” prawdziwego teraz długo w Lublinie nie pozaką. Oby wersja filmowa była dość wierna duchowi dzieła G. B. S.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„Czytelnik”

- Kazimierz Truchanowski — Młyn Bóże, powieść, wydanie pierwsze, Warszawa 1965 r.
- Stanisław Maria Saliński — Potęganie z Pacyfikiem, opowiadania, Warszawa 1965 r. wydanie drugie.
- Józef Senn-Sonecki — Bylem jeźdźcą Wehrmachtu — wspomnienia lekarza obozowego, Warszawa 1965 r. wydanie pierwsze.
- Otto F. Walter — Paul Tourel, przełożył Sławomir Blaut, Warszawa 1965 r. wydanie pierwsze.
- Leonid Solowow — Z księgi młodości, tłumaczyła Wanda Hindler, Warszawa 1965, wydanie pierwsze.
- Jerzy Bohdan Bychliński — Kulawy bosman, Warszawa 1965 r., wydanie trzecie.
- John Steinbeck — Myszy i ludzie, tłumaczył Jan Meyzrowicz, Warszawa 1965, wydanie pierwsze.
- Maria Dąbrowska — Ludzie starą — cykl opowiadań, Warszawa 1965 r. wydanie ósme.

„Iskry”

- Anna Bukowska — Nowa fala w prozie polskiej — 31 współczesnych opowiadań, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.
- Janina Balcerzak — Stracona młodość — Warszawa 1965 r.
- Aleksander Ziemiński — Misjonarze w jesionkach — Warszawa 1965 r.
- Roman Vlach — Gdzie ziemia się kończy, przełożył Stanisław Gawłowski, Warszawa 1965 r.
- Tadeusz Konwicki — Dziura w niebie, Warszawa 1965 r. wydanie trzecie.
- Sawwa Dangułow — Lenin rozmawia z Ameryką — przełożył Jerzy Litwin, Stanisław Nowacki i Ignacy Sienfeld, Warszawa 1965 r.
- Andrzej Twardochleb — Małe punkty — debiut książkowy, Warszawa 1965.
- J. Gordon Cook — W promieniach słońca, przełożył Roman Mierzecki, Warszawa 1965 r.
- Zofia Szylen — Wiatraki i Messerschmitt, Warszawa 1965 r.
- Kazimierz Dziwanowski — Archanioły i szkale — reportaż sprzed potopu, Warszawa 1965 r.
- Józef Kozak — Pozory — debiut powieściowy, Warszawa 1965 r.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

- W ciągu półtora miesiąca 11500 osób zwiedziło wystawę sztuki ludowej 4 województw — białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego. Teraz wystawa pojechała do Radomia.
- Z inicjatywy KW PZPR powołana została wojewódzka komisja upowszechniania książki i prasy technicznej.
- Po długim oczekiwaniu ukazał się album „Ziemia Białostocka przypomina”, zawierający dokumenty o zbrodniach hitlerowskich z lat 1939-44. Szkoła jednak, że zdobyć go można tylko w zarządzie okręgowym ZBoWiD.
- 13 czerwca zakończono rok szkolenia oświatowo-politycznego w ZMW. W ciągu roku zorganizowano 325 różnych kursów. Dużo — ale przecież tylko co czwarte koło ZMW brało w tym udział.
- W wyniku porozumienia organizacji młodzieżowych powstał zespół historyczny, który zajmuje się gromadzeniem materiałów i opracowaniem historii działalności KZM, ZWM, Wiel, OMTUR i Komsomolu na terenie województwa.

KIELCE

- Województwo posiada już 400 klubów książki i prasy „Ruch”. W okresie ostatnich Dni Oświaty powstało 40. Od początku roku odbyło się w nich prawie 6 tys. imprez, pokazano 139 różnych wystaw.
- W zakładach wyrobu płytek ceramicznych w Opocznie istnieją trzy zespoły amatorów teatru: zespół poezji, dramatyczny, estradowy i zespół pieśni i tańca. Co 15 pracowników należy do jednego z zespołów.
- Ośrodek kultury ZMS „Wiedza” wystawił spektakl poetycki „Cyklowe sztuki cieni”. Autorzy: Szekspir, Tuwim, Gałczyński, Słobodnik i in. Program przyjęto entuzjastycznie — warto go pokazać w innych miejscowościach.
- W Denkowie żyje rodzina Kaczmarek. Olecie, Stanisław, kiedyś znany gawędziarz, już nie żyje. Ale wdowa Helena oraz trzy córki — córki — Barbara, Janina i Natalia — z powodzeniem zajmują się gawędką artystyczną. Helena Kaczmarek zdobyła już wiele nagród i wyróżnień.

LUBLIN

- W dorocznym konkursie dla młodych dziennikarzy o nagrodę im. Bruna drugie miejsce zdobył red. Romuald Karaś z redakcji „Kurier Lubelski”. W najbliższym czasie ukaze się książka z reportażami laureata.
- W związku z bliskim już uruchomieniem wstępnej produkcji w puławskich Zakładach Azotowych, odbyła się tam sesja naukowo-informacyjna na temat „Mocznik w rolnictwie”. Udział wzięło ok. 300 naukowców i działaczy gospodarczych z całego kraju.
- Przy zarządzie okręgu ZPAP powstała delegatura ogólnopolskiej grupy artystów plastyków „Zachęta”. I jeszcze przed formalnym powstaniem urządziła pierwszą wystawę w gościnnej sali Domu Technika.

RZESZÓW

- W IV Rzeszowskich Spotkaniach Teatralnych, organizowanych z okazji Dni Rzeszowa, obok 6 zespołów krajowych wzięły udział 2 teatry zagraniczne: im. Gorkiego ze Lwowa i Zahorskiego z Preszowa.
- „Miejsce Rzeszowszczyzny w kulturalnej i literackiej geografii kraju” (dr Tadeusz Stanisław) — oto tytuł jednego z interesujących referatów, wygłoszonych na sesji popularno-naukowej na temat tradycji kulturalnych regionu.
- Dni Kultury Teatralnej, zorganizowane w Jasie z okazji 600-lecia miasta, otworzył teatr im. Siemackiego sztuka Chłopskiego „Nocna opowieść”. Wystąpiły także zespoły amatorskie: szkolny, kolejarzy i PDK.
- W V wojewódzkim harcerskim festiwalu piosenek, który zakończył się w Przemyślu, i miejsce wśród zespołów zdobyły ex aequo „Przemyslawki” z liceum w Przemyślu i „Ballady” ze szkoły podstawowej nr 3 w Stalowej Woli. Indywidualnie — Krystyna Grodzka z liceum w Siryżowie.
- W Przemyślu odbył się zjazd absolwentów liceum im. Słowackiego, który zdał maturę w rewoelucyjnym roku 1965. Na 54 ówczesnych absolwentów żyje tylko 3.
- W Sanoku położono kamień węgielny pod setną w województwie szkołę — Tysiąclatkę. Funduje ją Sanocka Fabryka Autobusów, która przekazała już na ten cel 4 mln zł.

LUDWIK ASZKENAZY

Oko

Nie była to wielka katastrofa samochodowa, ale pewna signora straciła w niej swoje jasnoniebieskie oko. Oplakata jedno oko drugim i dała ogłoszenie do Messagera: „Kupię oko, w dobrym stanie, jasnoniebieskie, z odcieniem zielonkawym. Uwaga: Pilne, cena nie gra roli, oferty do administracji”. Madonna mia, ileż napłynęło zgłoszeń! Nareszcie znalazł się żądany odcień. Operacja również przebiegła

[pomyślnie.

Nowe oko rzuciło blask i światło. Mogło patrzeć smutnie, ufnie, z figlarnym ognikiem, umiało zaskakić się szczęściem, lzy ronić radosne upojenia. Miało jedną tylko usterkę: skaze, plamkę, schowaną pod żrenicą. Przypominała okruszynę chleba.

Z czeskiego przełożył: Jerzy Pleśniarowicz

Wystawa i cienie

DOCEKALISMY się w końcu otwarcia II Wystawy 4 Województw: pierwszą, jak wiadomo, widzieliśmy w kwietniu 1963 r. Na samym początku wypada stwierdzić, że wystawy te różnią się nie tylko numeracją i obecnością, pożałujcie recenzentów, rzeźby na tegorocznej, ale przede wszystkim — konsekwencją realizacji założonych imprez o tak szerokim zakresie. Inicjatorom, którzy doprowadzili do pierwszego spotkania plastyki Polski Wschodniej, przyswiecały bowiem cele ze wszech miar słuszne, dalekosiężne i mające doprowadzić do autentycznej aktywizacji czterech ośrodków. W myśl tych pierwszych założeń wystawy 4 województw miały być miejscem dorocznej konfrontacji osiągnięć poszczególnych okręgów ZPAP, okazją do podjęcia szerokiej dyskusji nad problemami współczesnej plastyki, metodą popularyzacji twórczości poza granicami danego województwa. W czasie pisania recenzji katalog obecnej wystawy znajdował się jeszcze w drukarni, trudno więc stwierdzić jednoznacznie zbliżenie celów i założeń obu wystaw. Zakładając jednak, że i w tym roku chciano zorganizować rzecz ambitną, można z powodzeniem uznać program pierwszej ekspozycji za aktualnie obowiązujący.

Konfrontacja połowiczna

W samym określeniu konfrontacji mieści się moment spięcia, koniecznego dialogu, przeciwstawienia wartości różnych i odmiennie uzasadnionych, a kiedy na dodatek chodzi o konfrontację zbiorową, mamy chyba prawo oczekiwać pokazania wszystkich aktualnych autów stron zainteresowanych. Wystawa „Czterech” w ograniczonym tylko stopniu zaspokaja nasze oczekiwania, jedynie plastycy kieleccy i lubelscy pokazali twórczość różnorodną, rozwijającą się w odmiennych kierunkach i z innych źródeł się wywodzącą, chociaż w tych dwu ciekawszych grupach także zabrakło nazwisk, które trudno pominąć przy ocenie dorobku poszczególnych środowisk. Liczba wystawiających nie przesądza o wartości

malarstwa, to rzecz oczywista, ale na pewno jest problemem popularności imprezy oraz sprawdzeniem jej organizacyjnych walorów — podajmy więc kilka wymownych liczb. Otóż w wystawie z r. 1963 uczestniczyło ponad 70 malarzy i grafików, a w obecnej zaledwie 40 i kilku. Nie oglądając ekspozycji, a chcąc ten fakt wytłumaczyć, domyślamy się zaostrzenia selekcji, zwiększenia wymagań stawianych artystkom itp., ale — niestety — wystawa rozwiewa te miłe złudzenia. Pogażna grupa prac wykazuje ścisłe związki z postimpresjonizmem w naszej rodzimej „kolorystycznej” redakcji. W tych nader szerokich ramach odczuwamy się echa Matisa, ba — nawet uderzenie van Gogha się znajdzie u jednego z białostockich, a wielu malarzy z niezwykłym upodobaniem stosuje ciemny kontur, który (gdy byłem młodszy) nasał mi określenie „syntetyczny”. Na odrębnej pozycji można jedynie postawić pejzaże Z. Kononowicza (Lublin), jak zwykle nieomylnie w swej kolorystyce.

Powróćmy jednak do tych prac, które w jakimś stopniu uzasadniają określenie „konfrontacja osiągnięć”. A więc Władysław Filipiak (Lublin), nie wiadomo który już raz zaskakujący młodą i pasją swoją twórczością. Pokazał hieratyczne „Ślady” (I, II, III), fakturalne figury o nieczytelnych detalach formy, ale o wystarczająco przeżytej ekspresji, malarce, pomimo że świadomie antyestetyczne. O innych możliwościach nawiązania dialogu pomiędzy zdobyciami sztuki abstrakcyjnej, a malarstwem bardziej przedmiotowym przekonuje „Wenus” M. Hermana (Lublin), malowana grubo i szorstko w złamanych zóblach, brząz, ciętkim indygo — sugestia postaci nie mającej wiele wspólnego ze stereotypem podpowiadającym przez nazwę obrazu. Odmienne i bardziej ekspresjonistycznie realizuje tę nową figurację K. Jackowski z Kielc, w „Portrecie” łączący środki graficzne z jednolitym w kolorze, a jednak żywym w swej tkance materialnym malarstwem. Także punkt wyjścia „Pejzażu” Z. Kurkowskiego (Kielce) znajduje się niewątpliwie w naturalnym odpowiedniku tytułu, ale transpozycja została dokonana na drodze eliminacji kierowania świadomością, też i temperamentem. Powstał ciekawy obraz form poziomych zderzających się na osi wydłużonego prostokąta, na linii wyznaczanej miejscem dynamicznego zetknięcia.

Aby zamknąć ten kształt rzeczywiście konfrontacji dodajmy jeszcze „Rytmy” K. Kurkowskiego (ale raczej z konieczności egzemplifikacji odrębnej i odosobnionej tendencji) oraz „Pejzaż” R. Lisa (Lublin), działający fakturą o konsystencji wysuszonego tynku; dość interesująca przyszłość obiecuje także dwie prace B. Olszewskiej z Lublina, a szerszemu omówieniu malarstwa S. Chudzińskiego z Białegostoku przeszkadza zbytorna dekoracyjność jego realizacji, skłócona z ambitną, być może, koncepcją autora.

Tak więc, jeśli otrzymaliśmy konfrontację osiągnięć, to dwustronna, kielecko-lubelska, a przyznajmy dodatkowo, że także niepełna. Z Białegostoku zabrakło Lengiewicza i Łabanowskiego (p. Dorota Łabanowska poszła w znaną chyba wydeptany kierunek), a z Rzeszowa — całej czołówki tego środowiska. Nie znam przyczyn tej absencji, nie mogę zająć innego stanowiska poza tym oczywistym, że fakt nieobecności tych ciekawych malarzy zubaża ekspozycję obu miast.

W bocznej salce...

Mówilem dotąd o malarstwie — pora na grafikę. Niewiele wystawiających, a przecież grafice „Czterech” powinno się poświęcić osobne i obszerne omówienie. I znów dominują Kielce i Lublin, jedynie K. Lachtera ratuje honor Rzeszowa ciekawym linorytem „Latawce” obok „Kontrabasistki” B. Smożewskiej.

Poza „Drzewami” H. Szulca, któremu najbardziej zależy na rymach biele i czerń zamkniętych owalnych całościach, grafika pokazana na wystawie uodwadnia, że dążenie do semantyzacji kształtu nie jest w naszej współczesności plastycznej zjawiskiem przypadkowym i wyjątkowym. Oto „Kapitan wraku” i „Samotność”, linoryty Z. Kopeł-Szule z Lublina, kontynuacja metaforycznych koncepcji znanych z wcześniejszych prac: delikatnie różnicowana faktura, żywa i zmysłowa układa formy symboliczne, pełne treści. Tadeusz Hajnrych z Kielc deformuje twarz, włącza je w okna pryzmatycznych domów, tak, że otrzymujemy organicznie związane rzeczywiście o szerokich podłożach treściwych („Podróżnicy”, linoryty). A. Wolskiego (Kielce) interesują przedmioty spotykane na co dzień i te bardziej niezwykłe — butelki, łyżki, widelce, twarze, zółgi, pistolety maszynowe, litery — rozrzuca je na płaszczyźnie litografii w sposób bardzo swobodny, jakby pozbawiony kontroli; daje to smętny obrazek wizualnego doświadczenia rzeczywistości, zbliżony do fragmentów z dnia powszedniego.

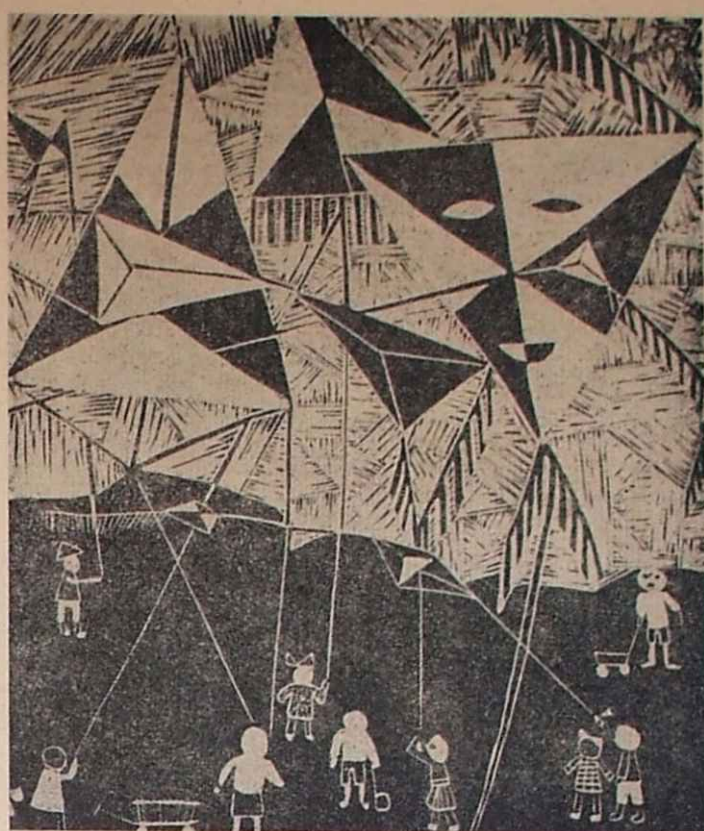
W bocznej salce BWA zgromadzone łącznie niewiele ponad 20 prac, w większości — interesujących przez swoją indywidualność.

Wspólny mianownik

Czy wystawa może być miejscem szerokiej dyskusji o problemach współczesności plastycznej? Odpowiedź mamy od razu: w bardzo ograniczonym stop-

Fot. A. Polubowski

K. Lachtera (Rzeszów) — Latawce (linoryt).



niu, jeśli współczesność równa się wielokierunkowości i strukturalnej złożoności zjawisk. Dotychczasowe omówienie zawiera wiele argumentów przemawiających za taką opinią, dodajmy jednak jeszcze kilka uwag ogólniejszej natury.

Najciekawsze prace pokazane na wystawie „Czterech” wiążą się najczęściej z tendencją „nowej figuracji”, która nie jest może tak nową w swych plastycznych środkach i metodach, ale na pewno ambitną, mogącą pochwalić się wartościowymi rezultatami i stąd godną uwagi próbą szerszego wyjścia do współczesności społeczno-technicznej, a właściwie jedną z prób. Jeżeli uwzględnimy specyficzny pop-art i towarzyszące mu zjawiska plastyczne. Wystarczy nawet przegląd tych kilku obrazów abstrakcji i ekspresjonizmu. Istnieje jednak wspólny mianownik tych dążeń, a jest nim emocjonalny stosunek do malarstwa, osiągnięcie wzmożonego wyrazu przez malowaną dynamicznie, a nie — przez spekulatywne konstruowanie form. Udowadniają to prace Filipiaka, Hermana i Jackowskiego. Podobne wnioski nasuwały się po obejrzeniu ostatniej Ogólnopolskiej Wystawy Młodego Malarstwa w Sopocie, o zasięgu tendencji może również powiedzieć popularność Anglika Bacona, który na Zachodzie znalazł wielu naśladowców, pomimo ekspansji młodego pop-artu. Ale, przynajmniej, jest to tylko jedna z wielu dróg współczesnej sztuki zamykająca się w określeniu „nowa”, czy „ekspresyjna figuracja”. Właściwie nie powiedziałem, że jest to bowiem tendencja „zamykająca się”, ale przeciwnie — otwarta w stronę humanistycznej zaangażowania w problematykę szerszą, niż formalna, lecz pozostająca na szczycie malarstwa. Nawet sympatyzując z tym kierunkiem nie możemy jednak nie dostrzegać pozostałych. Biorąc to wszystko pod uwagę widzę w obecnej wystawie możliwość dyskusji o ograniczonej do wyodrębnionej grupy „nowej figuracji” dyskusji prowadzonej w kontekście odosobnionych i nie najlepszych przykładów innych współczesnych tendencji; dość precyzyjne malarstwo orientacji „kolorystyczno-dekoracyjno-estetycznej” wyklucza w ogóle jakąkolwiek wspólną płaszczyznę dialogu. A nam wszystkim zainteresowanym chodziło przecież nie o zainteresowanie, ale pełną konfrontację osiągnięć współczesnej plastyki Polski Wschodniej. Gdybym jednak spotkał się z opinią, że ekspozycja jest adekwatna do obrazu aktualnej twórczości plastyków czterech województw, to uprzedzić fakty wolę od razu wyrazić swoje ubolewanie.

Co robić?

Co robić, aby przekształcić Wystawę 4 Województw w miejsce faktycznej konfrontacji plastyki ambitnej i wspólczesnej? Oto kilka moich propozycji: zobowiązać związek i odpowiednie instytucje do popularyzacji i reklamy wystawy wśród plastyków, zastrzeż selekcję i przyjmować prace powstałe w okresie roku poprzedzającego wystawę; urządzić ekspozycje w terminach wiosennych lub jesiennych, a nie w okresie przysłówowych „ogórków”; zapewnić wystawie publicystę w prasie i radiu, zaprosić znanych krytyków, a nawet wybitnych twórców; prace przyjmować na drodze dwóch eliminacji, jednej — okręgowej, drugiej —

niejako „centralnej”; ufundować kilka nagród, w tym Nagrodę Główną i cztery Nagrody Miast; zastanowić się, od kogo wziąć na to wszystko pieniądze, pamiętając, że zamożnych zakładów pracy i przedsiębiorstw nie brakuje w Polsce Wschodniej. I jeszcze jedno: realizację zacząć od tego ostatniego punktu. W przeciwnym wypadku lepiej zrezygnować z wszelkich wysiłków.

Po procesie W Krasnodarze

(Dokończenie ze str. 2)

biet i starych, kiedy uśmiercał młodych, zdrowych mężczyzn, drzą teraz o własne życie.

Sąd w Krasnodarze skazał wszystkich sześciu zbrodniarzy na karę śmierci.

A gdzie są ich mocodawcy i nauczyciele? Dlaczego po dziś dzień w Niemczech zachodnich pozostają na wolności: Obersturmführer Gustav Wilhaus, Obersturmführer Fritz Gebauer — organizator i pierwszy komendant obozu jankowskiego? Untersturmführer Richard Rokita — zastępca Wilhaus? Jego następca Obersturmführer Franz Warzog? Obersturmführer Gustav Wagner — komendant obozu w Sobiborze i cała ta zgraja SS-owców — zabójców setek tysięcy ludzi w obozie jankowskim, w Sobiborze i Bełżcu? Kiedy, i czy w ogóle zapłacią za zbrodnie przeciwko ludzkości?

Stanisława Gogolowska

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pleśniarowicz, Stefan Wojski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7, Telefon 2-34-43. Redakcja rozpłaca nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i preplaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana jest preplaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,50; półrocznie zł 35,00; rocznie zł 72,00. Zamówienia i wpłaty przyjmują PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-610024 oraz „Ruch”, Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unieka 4.

Zam. 2187 22.VI.65 3900 H-4

Odpowiedzi Redakcji

F. D. w Zarzeczcu. Dziwnie, że tylko imię i nazwisko podał Pan! Aż się dziwię, że nie napisał, że jest z Warszawy. Proszę napisać, gdzie Pan mieszka, proszę się przedstawić. W. J. P. w Warszawie. „Tribunał” czeka w kolejce. Wykorzystamy, prosimy się nie denerwować.

K. R. w Zamostu. Niestety, z nadesłanych fraszek żadna nie nadaje się do druku.

„Aka” w Rzeszowie. Nie skorzystamy. W przyszłości prosimy kontaktować się z naszym rzeczownikiem przedstawię, red. J. Pleśniarowiczem (tel. 22-04).

J. J. w Brzozowie. Materiał zatrzymujemy, może zamieścimy na jesień.

J. J. w Katowicach. Jeszcze rzeczywiście próby, ale sądzimy, że pracować warto. Proszę nam coś przysłać po pewnym czasie.

T. S. w Zaklikowie. Proszę Pani w liście do redakcji załączyć nam do wierszy: „Jeśli są coś warte, mogą pisać więcej”. Niestety, bardzo słabe.

„Czytelnik” w Naleczowie. Prosimy o większy wybór, może coś wydrukujemy.

Z. Z. w Przemyślu. Opowiadanie dość interesujące, ale bardzo wyidealizowane. Może Pan ma inne prace na podobny temat?

J. C. K. M. w Wołostynie. Z tą sprawą najlepiej zwrócić się do prof. W. Doroszewskiego. „Kamena” nie prowadzi w tej chwili kącika językoznawczego.

A. G. w Lublinie. Wiersze bardzo nierówne. Nadesłanych nie wykorzystamy, ale może ma Pani większy wybór?

A. W. w Lublinie. Przesadza Pan pisząc w wierszu (7): „Szarym życia ordynarym wypycha się w wszystkie zakamarki naszej jałni niszcząc każdy napotykaną educhację piękna”. Na razie żaden z Pana utworów nie nadaje się jeszcze do druku.

„Dwudziestolatka” w Lublinie. Najlepszy utwór „Ty”. Prosimy o osobiste skontaktowanie się z redakcją.

A. N. w Bartkowie. L. J. w Elku. Niektóre fragmenty utworów są niezłe. Wydaje się, że macie Panowie zdolności, które warto rozwijać.

Z. P. w Łomży. Zaległe honorarium wysyłamy. Ostatnio nadesłanych fraszek nie wykorzystamy, liczymy jednak, że w przyszłości będzie Pan o nas pamiętał.

J. S. w Warszawie. Dziękujemy za miłe słowa. Odpowiemy listownie.

KAZIMIERZ ŁOJAN

Rozmaitości

Harmonia współżycia — najtrudniejszy instrument do opowania.

Aby zdobyć złoto — trzeba mieć dobry „cynk”.
(z alchemii złodziejskiej)

Na firmamencie życia kulturalnego w Z. pojawiła się nowa gwiazda. Niestety, dość szybko okazało się, że to sztuczny satelita...

Kwiaty są symbolem miłości — rozmyślałem, gdy po kolejnej owacji — stopy podeptanych i zwiędłych zmiotano do koszy.

Gdy przekracza się granice ZSRH i np. pociągami pojeżdżającymi się do Moskwy, to w wagonie restauracyjnym na pewno każdy zwróci uwagę na niewielki, ale smacznie wyglądający pasztecik. Pojdą go do herbaty, jako przystawkę. A można go również spożyć samodzielnie, tak jak u nas kanapkę. Nazywa się ten pasztecik „filipowski pirazok”. Jest on tym, czym dla Anglika sandwicz. Jest rosyjskim przysmakiem, charakterystycznym dla kuchni rosyjskiej, jak dla polskiej bigos, czy barszcz.

„Filipowski pirazok” to owalna drożdżowa bułeczka, pulchna i w odpowiedniej proporcji przesycona tłuszczem. Przypomina z lekką w smaku ciasto francuskie. Do wypieku używane są tłuszcze zwierzęce i roślinne, jak np. olej słonecznikowy. Nakładzenie jest różnorodne, jak ryż, kasza, warzywa i owoce z odpowiednim dodatkiem mięsa, ryb, jaj i serów. Oczywiście te najbardziej „filipowskie” zawierają tajemnicę kulinarną, nadającą im specyficzny, niezapomniany smak i właściwość, którą po polsku określić można jako „rozpylanie się w ustach”. Nic tego dziwnego, że z takim konsumentem spostrzeże, a już ich kilka połączył z dużym apetytem.

„Filipowski pirazok” ze względu na jego olbrzymią popularność i rozpowszechnienie zaliczyć można do potrawy — symbolu kuchni rosyjskiej. Natknąć się na niego można wszędzie i w restauracji i w sklepie spożywczym i na ruchomym wózku sprzedawcy lub na bazowym straganie. Widywałem młodzieńca spieszącego do szkoły czy robotników pracujących przy robotach ulicznych lub na budowlach, spożywających „pirazki” i zaplajających je kwasem chlebowym, rozłożonym w dużych, dziś nawet zmotoryzowanych zbiornikach.

Pan Józef R., kiedy pewnego dnia skierowałem rozmowę na „filipowskie pirazki”, opowiadał mi ich historię i pewne zdarzenie, którego był świadkiem. Twórca tego narodowego rosyjskiego przysmaku był moskiewski restaurator Filipow. Był on niepoślednim znawcą zagadnień kulinarnych, kuchni i gustów rosyjskich. Przy ulicy Miasnoj w Moskwie miał duży paronietrowy dom czworokątny, tak zbudowany, że od każdej strony było wejście. Sprawiło to wrażenie, że dom ma cztery fronty. Zarówno na parterze, jak

i na piętrze były sale dla konsumentów wypitnych, jeśli się tak można wyrazić, niemal po brzegi, właśnie owymi „pirazkami”. Spis zawierał kilkadziesiąt odmian, a sposób konsumpcji był samobsługowy. I sam charakter zakładu gastronomicznego i samoobsługowa konsumpcja szybko zdobyły mieszkańców Moskwy. To były nowinki, ale nowinki, które trafiły w sedno gustów moskiewskich, a później zdobyły całą Rosję. O smaku

Filipow znał też słabość żarliwa, ale polecił personelowi, żeby nigdy nie kwestionował płatnego rachunku. Stały bywał, był świetną reklamą zakładu, a skłamywał rachunek — jakby milczącym zaakceptowanym rabatem.

Ala zdarzyło się pewnego dnia, że do zakładu przyszedł student, dość ubogi choć schludnie ubrany. Wpatrywał się uważnie w stopy smakowitych i wyraźnym wahaniem wybierając, które mu się wydawały najsmaczniejsze. Zjadł ich parę i westchnął.

Apetyt przychodził, jak wiadomo, w miarę jedzenia, toteż i nasz student po pewnej walce zjadł jeszcze kilka. Podszedł do kasy i oświadczył, że zjadł cztery pierożki.

— O przepraszam — zagroził obok niego głos: — Pan zjadł dziesięć! To oświadczył. Sam widziałem, bo obserwowałem!

Nieczekniwym interweniował okazał się gruby, płożący świetnym oburzeniem. Zrobiło się małe zamieszanie. Po bledaka podbiegł kierownik sali. Student, czerwony ze wstydu, przyznał się do winy. Po widział, że był głodny, a miał tylko dwadzieścia kopiejek. A te „filipowskie” były takie smaczne! Uległ pokusie.

Kierownik sali okazał się twardy. Albo student zapłaci, albo wezwie policję. W tym momencie zjawił się sam Filipow. I on obserwował scenę. Gromko skarcił kierownika, a potem zawał: — Konsument ma rację. Skoro mówi, że zjadł cztery, to płaci za cztery! A w moim lokalu śpiewają amatorzy nie potrzebując!

I wykopnął (sam był nie uboższy), przy aplauzie obecnych skonfundowanego krakusa.

Zajście to stało się słone w Moskwie i przysporzyło popularności Filipowowi. Choć podobno spotkał go jakiegoś szarynia administracyjnego, bo żartował, że pewne wpływy w sferach carskich urzędników, a i poparli go konkurenci, którzy chętnie przybyli do Filipowa i jego zakładu.

W. G.



OPOWIADANIA
KULINARNE
z dziesięćkimi

PRETENSJONALNOŚĆ. W czasie Targów Poznańskich słyszeć było często zapowiedzi sprawozdawcy radiowego: „Halo, to Główny Głos”. Ostatnio — w czasie Targów Gdańskich — „Główny Głos”. Nie wiem, czy sprawozdawcy Polskiego Radia znają mitologię, ale po co się tym zapowiadać? Tak samo irytujące są zapowiedzi w gazetach omówienia: „Kosmopolita” — „Niedzielnicy Gród”. Książka powieści bohatera dziełom warszawskim „Życie Warszawy” z czerwca ma mieć tytuł: „Dzień w Warszawie”. A czyż nie lepiej po prostu i wyraziście: „Dzień w Warszawie”?

ZŁODZIEJSTWO PRZECIWO REGUŁOM JĘZYKA... — z przemyślenia czyta się je określić w przekładzie „Podróż do domu” Mc Phettersa. R. L. Taylora (str. 1) odnoszące się do poprzedzającego je słowa: „jażem takiej nie widział”. Tymczasem Krystyna Tarnowska, która w świadomości uziła tego błędu, przysłała powiadzenie jakiegoś kapitana okrętu, nie dbającego o poprawność mowy. Tymczasem w oryginalnym tekście książki majowej pozytywne recenzje w ustach pewnego autora spotykały się nie zamiar z ośmiu błędów: „skoro raz jesteśmy w to weszli”, „jak żelazo do tego doszli”, „jakby nie było”, w ustach technika: „pan że nie znał”, a prócz tego już nie w przytoczeniu dialogów, w myślach osoby relacjonującej wypadki: „co bym nie napisał”, „co by nie wykrzykiwały miłe sąsiadki”, „w takiej, jakby nie było osobistej sytuacji”.

W zastępstwie
MAJ

KIELECKIE OSTY i chłosty

Ortografia

W kieleckim WDK jest pracujący bardzo żywo Klub „WIEDZA”. Spotkania, prelekcje odbywają się tu w każdym niemal dniu. Finansuje ZMS, zapraszając do nich najciekawszych w kraju. Piacówka ma dobrą opinię, ale ostatnio osłabła w naszych oczach plakat „reklamujący” znanego poecie i „cyganologa” — Jerzego Ficowskiego. Przeczytaliśmy, że m. w. będzie... Jerzy Ficowski.

Brak minimum

Do jednego z klubów w Kielcach zaproszono znanego reportera i podróżnika, redaktora tygodnika „Świat” — Kazimierza Dziewanowskiego. Tematem miały być odkrycia archeologów polskich w Libii o których gość napisał całą książkę. Na spotkanie przybył tylko kierownik klubu i kierownik organizacji społecznej, opiekujący się klubem z osób zainteresowanych był jeden słuchacz, który był specjalnie na prelekcję. Mimo takiego „tres faciant collegium” — spotkanie odwołano.

R. Pod.

ych nam zezuszą niebezpieczeństwach. Przede wszystkim zaś strzeżmy się miejscowych wampirów.

Uwaga na wampiry!

Istnienie wampirów tłumaczy się tem, że element, pragnąc przedłużyć życie swego ciała, podtrzymuje z nim związek astralny z jego poprzednikiem dostarczając mu sily życiowej, którą kradnie i wyciąga z ludzi żywych. Ci ostatni umierają wskutek wyczerpania bez żadnej przyczyny widocznej. Magnetyzm zwierzęcy, który stanowi sily życiową człowieka, zawsze dąży do równowagi, wskutek czego, jeśli chory i zdrowy człowiek znajdują się razem, sily życiowe ostatniego przechodzą do pierwszego. Dlatego obecność silnych i zdrowych ludzi zawsze jest pożyteczna. Już w Biblii jest wspomniana, że Dawid w celu podtrzymania swych sił otaczał się młodzieńcami i zdrowymi dziewczętami.

Są osoby, które świadomie pochłaniają sily życiową innych, doprowadzając ich do zupełnego wyczerpania. Niektóre kobiety przez dwa-trzy miesiące wyczerpały kochanków, a potem, gdy ich kochał, wyczerpały ich. Podobne typy spotykają się i wśród mężczyzn: jeśli się oni żenia, to żony ich umierają wskutek niewyważonego wyczerpania. Takich ludzi strzedz się należy, zrywając z nimi na tchymast, nie słuchać ich prób, bo wampir podtrzymuje i przedłuża swoje życie na koszt cudzy.

Uwaga fotoamatorzy!

Nowocześni czarownicy w znacznej mierze posługują się fotografią. Ustają zastąpić osoby ofiary przez jej fotografie; wiele zderzonych kochanek wyciąga oczy dawnemu kochankowi na fotografię. Istnieje rzeczywisty sekret udzielenia fotografii żywej osoby, nie powierzać. Dlatego też byłoby niebezpieczne przed napaścią astralną za pomocą fotografii nie zostawić na jawności.



„O wieczny, o królu wieczny! Boże niewypowiedziany, który stworzył wszystkie rzeczy przez miłość dla mnie i przez postanowienie tajemne na korzyść człowieka, spójrz na mnie (nazwisko) twego sługę niegodnego i zważ moją intencję czystą. Racz zesłać na to zwierciadło twojego Anioła ANAELA, który rozkazuje swym towarzyszom i twoim poddanyim: o wazehomocny, niech postępują oni w prawdzie, aby mnie oświecić i pokazać czego żądam (...).”

Tak czyścieli przez 45 dni z rzędu; w końcu ich zjawia się ANAEL w postaci pięknego dziecka, pozdrowił was i każde swym towarzyszom słuchać się was. Czasem Anioł może się zjawić już po upływie 11 dni zależnie od intencji i pobożności i wiary proszących. Gdy się zjawi, proście go, aby przychodził zawsze, gdy żądamy. Później nie trzeba już powtarzać wszystkich ceremonii, lecz po okazaniu zwierciadła mówić wprost trzecia modlitwa: „Przyjdź ANAELU! Idź. Po wykonaniu operacji pożegnajcie ducha słowna: „Dziękuję ci Aniele, że przyszedłeś i spełniłeś moją prośbę: odejść w spokoju i powrócić, gdy ci zwołam!”.

Wonnosć Anaela jak szafrań. Uproszczony sposób otrzymania prośbowa za pomocą zwierciadła magicznego: Uczyńcie krzyż na zwierciadle za pomocą oliwy z drzewa oliwnego, a pod krzyżem napiszcie: „Święta Helena”. Później dajcie je do trzymania dziewczynie prawnie urodzonej, ukłoniętej za nią i odwołajcie potrzebę krzyżu: „Deprecor, Domina S. Helena,

mater regis Constantini” (dalej mówić proszę o jawienie Anioła).

Gdy dziecko zobaczy Anioła, będzie mogło żądać od niego czego żądać.

Dowcipniom i wszelkiego rodzaju figlarom wczasowym przepadać za płataniem psikusów towarzyszącym letniemu wypoczynku, przydadzą się z pewnością.

Ciekawe praktyczne wiadomości z Magji

(Według starych ksiąg magicznych) DJABEL. Aby osoba śpiąca ujrzała we śnie diabła, trzeba wziąć krwi ludzkiej i posmarować nią twarz śpiącego. Wtedy mu będzie się zdawało, że wszysze diabły są wokół niego. PIJANSTWO. Jeśli wrzucić do naczynia z wódką kilka węgorków i zostawić tak długo, aż zdechną, to człowiek, który wypije takiej wódki, natychmiast do niej tak wielkiego wstrętu, że być może już nigdy w życiu do niej nie wróci. ZEBY ZMUSIĆ DO ŚMIECHU DZIEWIC. Wzięć trzy małe ziarenka bobu umieszczyć każde z nich pomiędzy dwoma palcami prawej ręki, położyć rękę na sercu. Wezwać z powagą na osobę i wy mówić: „Ego ago et superago et consummatio est”. Inny sposób: trzy białe fasole. Mówić: „Ebe, Mebe, Matristope”.

Podczas beztróskich zabaw wczasowych pamiętajmy jednak o groź-

Pogoda kaprysi. Gdy nie działają telewizory, co mają robić w słotne wieczory zniechęceni uczasowicze? W tych warunkach, zamiast oddawać się hazardowi lub nalogowi pijanstwa czyż nie warto raczej sięgnąć do starej książeczki pt.

Najnowsze Tajemnice i Zagadnienia

CZARNEJ MAGJI

Hypnotyzmu, Spirytizmu, i Magnetyzmu

oraz zasady praktycznego ich zastosowania

Ułożone

WEDEU NAJNOWSZYCH I NAILEPSZYCH ŹRÓDEŁ

przez I. K. R.

z licznymi rysunkami w tekście.

NARADEM KSIĘGARNI POPULARNEJ w Warszawie

Zwolennikom mocnych wrażeń radzę otworzyć książkę na rozdziel: ZWIERCIADŁO MAGICZNE. Przy pomocy Zwierciadła możemy nawiązać kontakt na przykład z Aniołem ANAELEM. A więc:

Wiedzę płytę liliową i gładką ze stali zlepką wklepić i napisać na powierzchni krwawą gołębia białego samca w czterech rogach tego zwierciadła imiona

Jehovah / Elohim

Metatron / Adonay

i owoicie je w bliźnię świętą i białą. Na nowiu o godzinie po północy podejść do okna, spojrzeć w niebo i rzeknąć: